

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ponownie ogarnęła ją niepewność. Może miał z tym coś wspólnego zapach wiecznie zielonych roślin i chlorowanej wody, ale równie silnej pokusy Rebeka nie czuła od chwili ukończenia liceum. Przeszył ją dreszcz.

Wchodząc na deskę trampoliny, zaczęła wyswobadzać się z ręcznika, lecz zatrzymała się na moment. Na plecach poczuła chłodny powiew wiatru. Zwariowała? Mogłaby przysiąc, że wyrosła już z niemądrych psot nastolatki. Nie pasowały one do wizerunku dwudzieottoosmioletniej niezależnej kobiety, która odnosiła sukcesy w interesach.

Owinęła się szczelniej ręcznikiem i spojrzała w dół na połyskującą błękitem tafłę basenu. Każda kropla wody zdawała się zachęcać do skoku. Rebeka poczuła, że znów ogarnia ją miłe podniecenie. Odprężyła się.

Cóż z tego, że wróciła do Follett River głównie po to, by zrobić wrażenie na uczestnikach zjazdu koleżeńskiego, którzy chcieli się spotkać w dziesięć lat po ukończeniu liceum. Uroczystość miała się odbyć dopiero za cztery tygodnie, podczas gdy taka okazja, jaką miała teraz, nie zdarza się często.

Wspięła się na palce i rozejrzała dokoła. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Nikt nie mógł jej przyłapać na gorącym uczynku i nikt się o nim nie dowie.

- Oprócz mnie - szepnęła, gdy następny dreszcz przeniknął jej niewysoką postać, a potem uśmiechnęła się lekko.

Emocje nie wynikały z tego, że kąpiel byłaby wyzwaniem rzuconym listopadowej temperaturze. Rebeka dobrze znała prawdziwe źródło swego podniecenia. Basen należał do Bezlitosnego Hanlona, uosobienia nieubłaganej pedagogicznej surowości, która wielokrotnie dała się jej we znaki w ostatniej klasie liceum. Los sprawił, iż teraz Rebeka na pewien czas stała się lokatorką pana profesora.

Jedno spojrzenie jego przenikliwych, orzechowych oczu wystarczało, by dziewczyna trzęsła się ze strachu. Nie wiedzieć czemu, połowa uczennic z liceum w Follett River miała poważne kłopoty z piekielnym wykładowcą historii. Rebeka pokręciła głową. Pewne rzeczy na zawsze pozostaną tajemnicą.

Kto by się tym przejmował, pomyślała, odgarniając palcami krótkie, ciemne włosy. Właśnie się dowiedziała, że Bezlitosny Hanlon, obecnie profesor miejscowego College'u, będzie nieobecny w mieście do końca tygodnia. Uśmiech satysfakcji zagościł na drżących ustach dziewczyny. Potrzebowała dziesięciu lat i szczególnego zrządzenia losu, by udowodnić, że może być górą. Pozbyła się jaskrawoczerwonego ręcznika i odrzuciła go za siebie. Kiedy ciało pokryło się gęsią skórka, wyobraziła sobie, jak starzy przyjaciele mówią do niej:

- Oszalałaś, Reb? Jeśli Hanlon nas złapie, nigdy nie wyjdziemy z kozy!

Tak, to był zwariowany pomysł. Naprawdę Sztubacki. Zbliżało się Bożego Narodzenie, lecz nawet renifery Świętego Mikołaja nie ściągnęłyby jej teraz z trampoliny.

- To dla ciebie, Hanlon!

Podbiegła do końca trampoliny i z mrozącym krew w żyłach okrzykiem skoczyła do basenu. By nie skostnieć z zimna, gwałtownie poruszała rękami w wodzie. Tylko wyjątkową siłą woli utrzymywała się na powierzchni. Żeby dostać się na płyciznę, musiała płynąć pod wiatr. Nic dziwnego, przez całe życie posuwała się w ten sposób.

Raleigh Hanlon usłyszał krzyk oraz plusk wody, gdy na podjeździe wysiadał ze swego auta. Biegnąc do furtki, mrucał pod nosem przekleństwa. Koszmar, który dręczył go od lat, znów nabierał realnych kształtów.

- Zatrzymaj się!

Czemu, do diabła, tak długo zwlekał ze spuszczeniem wody z basenu? Nerwowo szukał klucza od bramy.

- Proszę, zaczekaj! Nie utop się! - powtarzał w myśli.

Wcisnął klucz do zamka, przekręcił go i kopnął drewnianą furtkę. W biegu pozbywał się marynarki, a potem zauważył czerwony ręcznik za trampoliną i jakąś osobę w wodzie.

- Wyciągnę cię. Tylko chwyć mnie za rękę, Buddy. Buddy, chwyć mnie za rękę! - dźwięczało mu w uszach.

Zatrzymał się gwałtownie, widząc, że pływak dotarł do płytszego krańca basenu. Serce biło mu mocno, gdy opaci się o płot. Wszystko to głupi wybryk. Ogarnął go gniew. Był za stary na takie figle. Oderwał się od płotu i już otwierał usta, by coś powiedzieć, gdy w tej samej sekundzie intruz stanął w wodzie, błysnął nagością i odwrócił się tyłem do profesora. Raleigh powoli zamknął usta. Widok, który miał przed oczyma, odebrał mu chęć wymierzenia kary.

Ciało szczupłej brunetki połyskiwało w słońcu jak różowy posążek. Krople wody błyszczały na ramionach i plecach.

Hanlon czuł, jak budzi się w nim męskość. Czyżby rozpoznawał tę kobietę? Kiedy dziewczyna wzięła się pod boki, wszystkie myśli wywietrzały mu z głowy. Nieważne, jak się dostała na zamknięty teren., Nieistotne, dlaczego wybrała jego basen oraz kim była - najważniejsze, że nie utonęła. Stanowiła teraz godny podziwu obiekt obserwacji, zawierający w sobie niebezpieczną mieszanekę erotyzmu i niewinności.

Hanlon potrząsnął głową. Całe dorosłe życie spędził, ucząc historii, a dopiero teraz zrozumiał, czemu mężczyźni prowadzili wielkie wojny o piękności, takie jak ta nieznajoma. Walczył z samym sobą. Nie wiedział, czy powinien dalej podglądać, czy raczej przemówić? Usłyszał, jak dziewczyna roześmiała się głośno, po czym wydała okrzyk i znowu rzuciła się w wodę.

Serce zabiło mu mocniej, bo przez ułamek sekundy dostrzegł różowe sutki jej piersi oraz ciemny trójkącik w zwieńczeniu ud. Dziewczyna natychmiast skryła się pod taflą wody i tylko wyobraźnia mogła mu pomóc w odtworzeniu doskonałych kształtów pływaczki.

Hanlon przesunął ręką po włosach, próbując uporać się z pamięcią o Buddym. Nie należał do bohaterów. Do licha, nie potrafił nawet wyrzucić z własnego basenu nagiej kobiety.

Zniecierpliwionym spojrzeniem ogarnął basen. Nie spuszczał oczu z dziewczyny poruszającej się w wodzie. Być może będzie się budził spocony o trzeciej nad ranem z tą wizią przed oczami, lecz teraz musi się pozbyć intruzki. Odesła ją stąd z należną reprimendą, którą właśnie układał w myślach,

Dziewczyna przez jakiś czas płynęła pod wodą, więc Hanlon spokojnie podszedł do krańca basenu i tam na nią czekał. Ostatni, silny ruch ramion wyniósł pływaczkę na powierzchnię. Mimo że miała zamknięte oczy, mokre włosy i twarz zalaną wodą, Hanlon znów odniósł wrażenie, że zna tę osobę. Zanim cokolwiek ustalił, dopłynęła do końca basenu, chwyciła palcami za krawędź, a potem gwałtownie podniosła głowę.

- Pan! - wymówiła ze zdumieniem, rozluźniając uchwyt.

Zachłysnęła się i zanurzyła w wodzie, lecz szybko wydo-
była się na powierzchnię. Nad krawędzią basenu ukazały się
oczy przysłonięte mokrymi włosami. Już gdzieś je widział.
Oczy wypełnione strachem... lub oburzeniem?

- Miał pan nie wracać do końca tygodnia. C..co pan tu
robi? - spytała dziewczyna, z trudem łapiąc oddech.

Była wyraźnie oburzona.

- Co tu robię? Jestem u siebie. Powinienem raczej spytać,
co pani tu porabia?

Tusz rozmazał się na jej powiekach, sprawiając, że oczy
tej dziewczyny stały się jeszcze większe, bardziej niebieskie
i bezbronne. Zamrugała nimi, a krople wody spłynęły jej
z rzęs na policzki.

- Wprowadziłam się do mieszkania Alana - rzekła, nie
spuszczając wzroku z gospodarza posiadłości, i ruchem gło-
wy wskazała garaż.

- Nie wspominał, że komuś je podnajmuje. Kiedy pani
z nim rozmawiała?

- 'Wcale z nim nie rozmawiałam. Ustaliłam wszystko z
jego siostrą. Megan powiedziała, że Alan wyjechał na sześć
tygodni, a pan chyba nie będzie miał nic przeciwko temu,

jeśli u niego zamieszkać. - Zamilkła, by zlizać z ust kroplę wody.

Hanlon poczuł się nieswojo na widok koniuszka języka, który powolnym ruchem przesunął się do kącika ust. Niewinny odruch wprowadził go w lekkie podniecenie. Nagie ramiona dziewczyny, mokre policzki, odrzucone do tyłu włosy nad tle błękitnej wody kojarzyły mu się z plakatem biura podróży zachęcającym do wyjazdu na Tahiti. Tymczasem był listopad i oboje znajdowali się w New Jersey. Tu nie kwitły orchidee, a wiatr chłodnymi podmuchami marszczył powierzchnię wody w basenie. Mimo to piękna intruzka wydała mu się najbardziej egzotycznym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widział.

- Powiedziała pani, panno...? - rzekł, patrząc, jak woda obmywa jej ramiona.

Wrócił mu w pamięci widok nagiej dziewczyny sprzed paru minut. Wrażenie było tak silne, że musiał rozluźnić węzeł krawata. Ukradkiem przełknął ślinę i wsunął ręce do kieszeni. Atmosfera stawała się coraz bardziej zmysłowa.

Dziewczyna przysunęła się do ścianki basenu i oparła brodę na rękach opartych na krawędzi.

- No, no. Nie przypuszczałam, że po tym wszystkim, co wspólnie przeżyliśmy, tak łatwo pan o mnie zapomni.

Hanlon zmrużył oczy, próbując uzmysłowić sobie, o czym mówiła. W myślach wykluczył ewentualność, by pływaczka mogła być jedną z kobiet, z którymi czasem spędzał weekendy. Nieznajoma uśmiechała się i nieustępliwie patrzyła mu w oczy. Była uparta. Hanlon przykucnął nad basenem. Dlaczego jest uparta, pomyślał. Gdyby miał ją opisać, użyłby słów: cudowna, godna pożądania, tajemnicza. Z pewnością

tajemnicza. Zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją zna. Wzruszył ramionami i posłał jej uważne spojrzenie.

- Próbuję zgadnąć - powiedział.

- Proszę dołożyć starań.... panie Hanlon - rzekła, unosząc podbródek.

Patrzyła na niego z wyzwaniem i rozbawieniem. Większość ludzi inaczej zareagowałaby na jego szorstkość, którą ona zdawała się nie przejmować. Kimkolwiek była, okazywała niezwykłą pewnością siebie. Najwyraźniej bawiła ją zaistniała sytuacja

- Chyba coś w pani wyglądzie utrudnia pracę mojej pamięci - odparł, przerywając erotyczne rozmyślania.

- Moje włosy.

Zmieszany Hanlon spojrzał na nią spod oka. Mógłby przysiąc, że tym „czymś” był jej tyłeczek.

- Włosy? - Potrząsnął głową. - Nie sędzę.

Dziewczyna odgarnęła kilka mokrych loków z czoła.

- Były jasne i nastroszone na czubku głowy.

Blondynka z nastroszoną fryzurą. Raleigh przyjrzał się pływaczce. Wstrzymał oddech, gdy poczuł, że rozjaśnia mu się w głowie. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Powoli wy dobył ręce z kieszeni. Nie, to nie może być ona. Przymknął oczy i przetarł twarz dłonią, zanim spojrzał znowu na dziewczynę. Tak, te same szeroko otwarte oczy i aż nadto niewinny uśmiech. Jęknął głośno.

Włosy zmieniły kolor, głos stał się odrobinę głębszy, lecz oczy pozostały wielkie i błękitne. Wydawało się, że dziewczyna nigdy nimi nie mruga. Jako nauczyciel niezliczoną ilość razy mierzył się z wyzwaniem ukrytym w tym spojrzeniu. Cóż z tego, że minęło dziesięć lat... zalecał się do jednej ze swoich uczennic. I to nie byle jakiej!

- Rebeka Barnett! - zawołał.

Roześmiała się głośno. Hanlon zachował kamienną twarz; zawsze był mistrzem w maskowaniu uczuć. Niestety nie potrafił zapanować nad rozkosznym dreszczem, który przeszył jego ciało.

Kto wie, jak ta dziewczyna mogła wykorzystać sytuację, gdyby w porę jej sobie nie przypomniał? I na co on sam mógł być sobie pozwolić? Hanlon z trudem przełknął ślinę, wyobrażając sobie kilka interesujących możliwości. Zrobiło mu się gorąco. Dawno nie miał równie dzikich wizji. Ogarnęła go irytacja.

- Ciągłe te same wygłupy, panno Barnett? - zapytał.

Z oczu dziewczyny zniknęło rozbawienie, a wraz z nim nastrój swobody, w jakim przebiegało spotkanie. Hanlon zasługiwał na niezłego kuksańca za swoją głupią uwagę.

- Mogła się pani pośliznąć na trampolinie albo uderzyć głową o dno basenu - dodał nieco łagodniej.

Splatał i rozplatał palce, czekając na to, co powie Rebeca.

Dziewczyna w pierwszym odruchu spuściła wzrok, a potem wolno powędrowała spojrzeniem ku wargom i oczom nauczyciela. Patrzyła tak długo, iż Hanlon pomyślał, że jeszcze chwila, a zwariuje.

- Zbliża się Boże Narodzenie. Gdzie pański świąteczny nastrój? - zapytała w końcu, odrzucając głowę do tyłu.

Na moment nagie piersi Rebeki uniosły się ku górze. Zanim znowu przycisnęła się do ścianki basenu, Hanlon dojrzał dwie różowe, napięte sutki. Natychmiast przypomniał sobie widok jasnej skóry i ciemnego trójkąta poniżej brzucha dziewczyny.

Rebeka Barnett nigdy nie była łatwą uczennicą, nie musia-

ła jednak dodatkowo komplikować ich wzajemnych stosunków, prowokując go erotycznie. Raleigh Hanlon przybrał poważny wyraz twarzy i wczuł się w rolę nauczyciela

- Jeśli dobrze pamiętam, zwykle dokonywała pani swoich wyczynów w towarzystwie przyjaciół - zauważył i rozejrzał się wokoło.

Rzucił okiem w stronę furtki; bardziej starając się uwolnić od widoku nagiego biustu dziewczyny i wszystkiego, co kryło się poniżej, niż szukając kogoś.

- Proszę mi powiedzieć, panno Barnett, czy w tym basenie spodziewany jest dzisiaj jeszcze jakiś nagi pływak? .- spytał, kątem oka obserwując, jak dziewczyna przymyka oczy.

Serce mu zadrżało na myśl, iż mogło stać się coś, czego sam będzie żałował.

- Nie, chyba że pan zgłosi się na ochotnika - odparła słodkim głosem.

Spojrzał jej w oczy. Wszystko, o czym starał się już nie pamiętać, znów zawładnęło jego ciałem. Poczował gorąco. Niezręczna sytuacja trwała, dopóki dziewczyna nie odwróciła wzroku. - Czy zamknie mnie pan w kozie? - spytała, drapiąc się po nosie.

- Nie w tym tygodniu - odrzekł, podchwytnij jej żartobliwy ton, bo nie potrafił zdobyć się na nic innego.

Dawno minęły te czasy, gdy za sztubackie występki karał ją w ten sposób. Wtedy była sympatyczną, zbuntowaną nastolatką, niespokojnym duchem szkoły. Doprowadzała do szalu zarówno jego, jak i całe grono pedagogiczne. Ciągle miała w sobie sporo tupetu, choć doświadczenia minionych dziesięciu lat zapewne nieco ją utemperowały, podobnie jak zatarły

różnicę między nimi dwojgiem, wypływającą z relacji: nauczyciel-uczennica.

Hanlon poszedł po jej ręcznik i powiesił go na szczeblu drabinki.

- Wyrzuca mnie pan? - zapytała, przesuając się ku drabinie tak, by krawędź basenu osłaniała jej nagość.

- Jeszcze nie - odparł niezwykle spokojnym tonem, którego zawsze używał wobec studentów college'u wprowadzając ich w onieśmielenie, ale na Rebecę nie wywarło to żadnego wrażenia. - Zakładam, że to był jednorazowy wybryk.

- O ile nie podgrzeje pan wody w basenie...

- Nie zrobię tego - powiedział, pochylając się nad wodą tak, że zbliżył twarz do policzków dziewczyny. - Gra skończona - dodał. - Powinna się pani wysuszyć. Zaczynają sinieć pani usta.

Rebeka przyłgnęła do krawędzi basenu i zatrzepotała rzęsami.

- Nie tylko usta — zauważyła z udanym przerażeniem w głosie.

Hanlon odwrócił spojrzenie, pozbawiając się widoku kształtów, które podziwiał jeszcze kilka minut temu.

- By odpowiedzieć na pani pytanie, wyjaśniam, iż wróciłem do miasta wcześniej, bo urządzam dziś małe przyjęcie dla kolegów z wydziału. Jeśli zamierza pani zostać tu dłużej, byłbym wdzięczny, gdyby nie spacerowała pani nago pod moimi oknami.

- Dlaczego? - spytała tonem niewiniątka,

- Ponieważ... dziekan Callahan ma słabe serce.

Hanlon ruszył przed siebie. Musiał stąd odejść, zanim ta

dziewczyna zrobi z niego kompletnego głupca. Nie za szybko i nie za wolno, tak jak zwykł opuszczać salę wykładową. Wtem usłyszał plusk wody i wyobraził sobie Rebeke, wychodzącą z basenu. Dystans pięciu kroków, które dzieliły go od furki, wydał mu się nagle najdłuższym, jaki musiał kiedykolwiek pokonać,

- Panie Hanlon! Proszę zaczekać.

- Możemy później dokończyć rozmowę - odrzekł, słysząc za sobą odgłos bosych stóp; biegnących po cementowej alejce. - Niech pani się zatrzyma! - zawołał.

Bo obejrzą się i zobaczą cię naga, dodał w myślach, a to zniszczy moje postanowienie, by traktować cię jak niespokojną duchem siedemnastoletnią uczennicę, którą próbujesz udawać.

Westchnienie ulgi wyrwało mu się z' piersi, gdy Rebeka w chwilę później pojawiła się w zasięgu jego wzroku. Zdażyła już Owinąć się ręcznikiem, którego koniec tkwił zatknięty pomiędzy piersiami.

- O co chodzi, panno Barnett? - spytał, obserwując, jak dziewczyna ociera palcami krople wody z podbródka.

- A jak się miewa pańskie serce?

Jej pytanie przypomniało mu, że zawsze należała do tych, które muszą mieć ostatnie słowo. Bravo! Wsunął ręce w kieszenie i odpowiedział w podejrzenie uprzejmy sposób.

Tak samo jak wówczas, gdy rozmawialiśmy po raz ostatni. Jest jak zwykle zimne, panno Barnett.

Nadarzał się moment, by odejść, lecz Hanlon nie mógł się poruszyć, zafascynowany śmiałością Rebeki.

- Ja... się zmieniłam - powiedziała z szelmowskim uśmiechem.

A może to chłód wykrzywił jej wargi? Hanlon miał ochotę rozetrzeć ramiona dziewczyny. Spojrzał na złoty łańcuszek zdobiący jej kostkę. Nie wiedział, dlaczego ta ozdoba wywołała niezwykle wizje w jego myślach. Zaczął się zastanawiać, co zrobiłaby Rebeka, gdyby przycisnął ją mocno do siebie i całował tak, aż spuchłyby jej wargi. Ona zdobyła się na złamanie tabu w stosunkach między nauczycielem i uczennicą, on tego nie potrafił. Minęło dziesięć lat, lecz dla niego niewiele się zmieniło.

- Proszę - rzekł, zdejmując marynarkę i okrywając nią ramiona panny Barnett. - Jeśli nalega pani, by dalej prowadzić tę rozmowę, nie chcę, by zamarzyła pani na śmierć.

Rebeka przymknęła oczy i rozchyliła usta.

- Jak mi dobrze - westchnęła, rozkoszując się ciepłem, jakiego dostarczył materiał okrycia.

Hanlon poczuł, że znów ogarnia go fala gorąca. Tuż obok niego znajdowała się niemal naga kobieta, a on dla własnego dobra musiał zachować dystans. Popatrzył na jej zaróżowione policzki, wilgotne wargi i rzęsy, a kiedy wiatr poruszył gałęziami najbliższego drzewa, westchnął cicho. Wiedział dokładnie, czego nie powinien robić.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Panie Hanlon... - wyszeptała.

- Tak, panno Barnett?

- Już nie jestem pańską uczennicą i...

- Zorientowałem się - odrzekł, wpatrując się w jej twarz. Oblizła wargi. Drżały teraz, całe czerwone i wilgotne.

- Gdzie się pani zatrzymała...? - spytał ochrypłym głosem.

- Dokładnie po przeciwnej stronie podjazdu. Ja będę po jednej stronie, a pan po drugiej...

Hanlon uniósł brwi, czekając, jak rozwinię się ten interesujący scenariusz.

Spędzę tu całe ferie i wezmę udział w zjeździe koleżeńskim. Dziwiłabym się, gdybyśmy...

Hanlon cofnął się o krok.

- Zjazd koleżeński? Oczywiście, rozumieć Spotka się pani ze starymi przyjaciółmi. Czego pani ode mnie oczekuje? Pozwolenia, by pójść na przyjęcie? Może chce pani inaczej spędzić czas z kolegami, wykapać się wspólnie w basenie?

Rebeka potrząsnęła głową.

- Pragnę, by przestał pan mówić do mnie: „panno Bamett”.

- Jest pani mężatką? - spytał, odczuwając jednocześnie rozczarowanie oraz ulgę.

- Nie - odparła. - Po prostu nie widzę potrzeby; byśmy po tylu latach zachowywali się tak oficjalnie. Szczególnie teraz - dodała, spoglądając na swój skąpy strój.

- Chce pani, bym zwracał się do niej po imieniu? O to chodzi? - spytał z uśmiechem.

- Nie, proszę mnie nazywać: Reb - odparła po chwili namysłu.

- Reb? Czemu mam używać dawnego przydomka? Dlaczego nie Becky?

- Po prostu chcę słyszeć, jak nazywa mnie pan Reb.

- To skrót od „rebelii”, prawda? - spytał; godząc się na propozycję dziewczyny.

- Sądzę; że to zawsze stanowiło częśćkę mnie samej - odparła z uśmiechem. Ale małą częśćkę... Raleigh.

- Raleigh?

Zobaczył, że klucz od furtki w płocie otaczającym domek Alana leży na kloszu lampy oświetlającej wejście. Podał go Rebecce, a sam zajął się własnym, który tkwił ciągle w zamku bramy.

- Wolałbym swój stary przydomek - rzucił.

- Stary?

- Znasz go przecież, Reb, sama mi go nadałaś.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - udała zdziwienie.

- Na pewno masz. Bezlitosny Hanlon. Wymalowałaś to wielkimi literami w pokoju nauczycielskim. Na zielono, o ile pamiętam.

- Na czerwono - poprawiła go.

W chwilę potem zakryła dłonią usta i zacisnęła powieki. Hanlon przypomniał sobie właśnie wszystkie okoliczności tamtego wydarzenia, minął furtkę i znalazł się na kamiennej ścieżce.

- Panie Han... Raleigh, zaczekaj!

Hanlon odwrócił się i zamarł. Rebeka jedną ręką przytrzymywała marynarkę, a drugą gestykulowała dla utrzymania równowagi, bo próbując skrócić sobie drogę, stąpała po kamieniach. Stawiała kroki jak w erotycznym tańcu. Im szybciej szła, tym wyżej unosiła marynarkę, ukazując rąbek ręcznika.

- Słucham cię - rzekł. I patrzę, dodał w myśli.

Zatrzymała się gwałtownie i wsparła rękę na biodrze. Włosy już jej wyschły i, poskręcane w spiralki, sterczały na wszystkie strony.

- Czemu sądzisz, że to ja napisałam twoje przezwisko na ścianie? - spytała. - Tamtego ranka wszyscy mieliśmy na głowach kominiarki - dodała, tak gwałtownie unosząc ramię,

że ręcznik zaczął wysuwać się spod marynarki. Próbowwała go pochwycić, ale na próżno.

Za późno, pomyślał Raleigh, gdy czerwony ręcznik zsunął się dziewczynie do kostek, odsłaniając najpiękniejsze nogi i pośladki, jakie kiedykolwiek widział.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dwadzieścia minut później Rebeka Barnett weszła do kawiarni „Czekoladka”. Rozejrzała się po wnętrzu ulubionego lokalu wszystkich studentów miejscowego college'u i zatrzymała spojrzenie na blondynce krzątającej się za ladą. Właśnie z nią chciała się spotkać, więc przedzierała się teraz przez gąszcz stolików, by dotrzeć do baru. Usiadła na jednym z wysokich stołków, oparła łokcie na marmurowym blacie i pochyliła się ku przyjaciółce.

- Raleigh Hanlon wrócił do miasta - rzekła.

Megan Sloan, która wygarniała właśnie słodką masę z pojemnika stojącego na ladzie obok tortu i ostrożnie rozprawiała polewę na powierzchni ciasta, uniosła brwi ze zdziwienia.

- Zaskoczył cię?

- Mogłaś mnie uprzedzić - zauważyła Rebeka.

- Dzwoniłam, żeby cię zawiadomić, ale rozumiem, że nie włączyłaś jeszcze automatycznej sekretarki. Nie obawiasz się, że ludzie nie będą mogli się z tobą skontaktować w sprawach służbowych? - spytała Megan, nie przerywając zdobienia tortu.

- Pracownicy mojego biura turystycznego w Miami doskonale radzą sobie beze mnie. Dlatego myślę o otwarciu filii tutaj.

Megan Sloan dokładnie pokryła polewą boki ciasta, a potem uniosła na przyjaciółkę szeroko otwarte, szare oczy.

- Reb! Co się stało z twoimi włosami? - zawołała, wypuszczając z ręki szpatułkę do nakładania kremu.

- Chcesz poznać całą historię czy tylko najciekawsze momenty?

- Oczywiście, że całą historię - odrzekła Megan, spoglądając na zegarek - lecz niestety starczy czasu na wysłuchanie tylko najciekawszych jej fragmentów. Wiesz, że moja mała firma zarządzająca przyjęciami ma na dzisiaj zamówienie, z którym nie mogę się spóźnić. Wobec tego się streszczaj.

Rebeka skinęła głową i rozejrzała się wokoło, by się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. W pobliżu nie było nikogo ze znajomych. W sali kawiarnianej siedzieli obcy jej goście.

- Zmoczyłam włosy, kąpiąc się nago w basenie Raleigha Hanlona. Przyłapał mnie na tym.

- Och, Reb - pisnęła Megan, krztusząc się od śmiechu. Gdy wreszcie nieco się uspokoiła, pokiwała głową, z podziwem wpatrując się w przyjaciółkę.

- Tak się cieszę, że wróciłaś do Follett River. Odkąd wyjechałaś, zapanowała tu śmiertelna nuda

- Nuda? Jak można się nudzić, mając Raleigha Hanlona w pobliżu? - nie dowierzała Rebeka.

- Daj spokój, minęło już dziesięć lat od czasu, gdy wycinaliście sobie numery. Hanlon nie jest taki zły. Choć faceci po trzydziestce stają się zrzędlivi, to, szczerze mówiąc...

- Nie chodzi mi o zrzędenie. Myślę o jego... no wiesz - Rebeka przerwała, przypominając sobie wzrok Raleigha w chwili, gdy otulał ją marynarką.

Pamiętała przyjemność, którą odczuła, gdy policzkiem do-

tknęła wełnianego kołnierza. Uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Tak? O jego...? - Megan domagała się wyjaśnień.

- Nieważne - ucięła Rebeka, wygodnie sadowiac się na stołku.

Odetchnęła głęboko i nawiązała do interesującego ją tematu.

- Co on robił przez te dziesięć lat? - zapytała.

- Skąd to nagłe zainteresowaniem twoim „ulubionym” nauczycielem? - zdziwiła się Megan.

Rebeka opuszkami palców zebrała z serwetki okruchy orzechów, którymi przyjaciółka ozdabiała tort, oblizała je i wzruszyła ramionami.

- Jest teraz moim gospodarzem. To wszystko.

- Nigdy mnie nie okłamywałaś - zauważyła Megan.

- Meggie, daj spokój, miej wzgląd na starą przyjaźń i po prostu odpowiedz.

- Już ci mówiłam. Teraz jest profesorem historii w Follett College. Pracuje nad swoją drugą książką o dawnych cywilizacjach. Píše chyba o Inkach.

- Megan Sloan - przerwała jej Rebeka znaczącym tonem.

- Chodzi o jego życie prywatne.

Megan sięgnęła po pojemnik z orzeszkami w czekoladzie i ozdobiła nimi ciasto.

- Wiesz, że on pochodzi z Daleville. Jakies dziewiętnaście lat temu jego brat zrobił dziecko jednej z tamtejszych dziewczyn, a potem zginął, zanim zdążył się ożenić. Od tamtego czasu pan Hanlon pomaga niedoszłej bratowej. Ma bratanicę, Penny. Po śmierci rodziców Penny jest jego jedyną krewną. Ostatnio sprawia swojej matce kłopoty.

Rebeka niecierpliwie bębniła palcami o marmurowy blat lady, słuchając o problemach dojrzewającej nastolatki.

- Megan, ja naprawdę wszystko wiem o trudnościach okresu dojrzewania. Mnie interesuje tylko jego prywatne życie.

Przyjaciółka odstawiła pojemnik z orzeszkami i oparła łokcie na ladzie:

- Reb Barnett, jaką to straszliwą zemstę planujesz, by wyładować wściekłość na biednym, starym profesorze?

- Starym? Niejest stary, on...

Czemu go broniła? Zostawił ją na podjeździe z ręcznikiem pętającym się wokół kostek i świadomością, że się ośmieszyła. Zachowała się bezsensownie. Teraz też robi głupstwa.

- Meggie - rzekła spokojnie. - Próbuję uporządkować parę spraw.

- Jakich spraw?

- Nie wiem. Hanlon dziwnie na mnie patrzył.

- Chyba nie myślisz, że ma to coś wspólnego z tym, że zastał cię nagą we własnym basenie?

- Częściowo ma.

- Ty nie żartujesz, prawda? Coś jest między wami?

Ostatnie pytanie przyjaciółki zabrzmiało jak stwierdzenie niepokojącego faktu. Pomysł, iż mogłaby ulec czarowi dawnego nauczyciela, jej samej również wydawał się absurdalny. Uniosła ręce w obronnym geście.

- Nic się nie dzieje. Po prostu zobaczyłam człowieka po dziesięciu latach i...

- Wydaje mi się, że po dziesięciu latach po raz pierwszy dostrzegłaś w nim mężczyznę. Co za myśli chodzą ci po głowie?

Rebeka najpierw rozejrzała się po sali wypełnionej młodszymi kolegami, którzy delectowali się właśnie kawą cappuccino, a dopiero potem pochyliła się ku Megan i rzekła:

- Nigdy nie myślałam o nim w ten sposób.

- Dzięki Bogu - odrzekła Megan zwodniczo spokojnym tonem i umieściła ciasto w firmowym pudełku. - Bo znając cię, można by przypuszczać, że zechcesz go osaczyć - dodała.

- Bardzo zabawne - odparła Rebeka, pomagając Megan domknąć opakowanie. - Mam nadzieję, że nie podejrzewasz mnie o to, iż dziś zobaczyłam Hanlona w innym świetle - rzekła i skrzywiła się, słysząc własny nerwowy śmiech, który towarzyszył ostatniemu zdaniu. - To znaczy.

- Och, Reb, zawsze byłaś taka wygadana, gdy chodziło o pana Hanlona, a teraz nie jesteś w stanie sklecić porządnego zdania na jego temat. Wspomniałam ci, że jest rozwiedziony?

- Rozwiedziony? - powtórzyła Rebeka, nie dbając o to, że zdradza, jak bardzo jest spragniona dalszych informacji o Hanlonie i jak się obawia zadawać kolejne pytania.

- Rozstali się cztery lata temu, więc chyba można już mówić, że ten związek to przeszłość. Ale wyobraź sobie, co by powiedziała jego żona, zastając cię nagą w...

- Dobry Boże, nigdy nie brałam pod uwagę, że mogłaby być żonaty - szepnęła Rebeka.

- Naprawdę? Teraz można go traktować jak faceta do wzięcia.

Do wzięcia? Pomysł, że mogłaby w tak romantyczny sposób zainteresować się Bezlitosnym Hanlonem, nie wydawał się Rebecce zabawny. To zupełne szaleństwo.

- Meggie, przysięgam, że kąpiel nago to tylko rodzaj zemsty za to, że mi tak zatruwał życie dziesięć lat temu. Nic

więcej, teraz, gdy się spotkaliśmy, chcę mu udowodnić, że się zmieniłam i potrafię zachowywać się jak dojrzały człowiek - powiedziała takim głosem, jak kiedyś w szkołę. - Wzięłam się w karby i nie sprawiam już kłopotów. Nie jestem już tą rozrabiaką, za którą mnie zawsze uważał. Zobaczysz, że wyrosłam na odpowiedzialną, wspaniałą kobietę. Z czego się śmiejesz? - spytała, widząc reakcję przyjaciółki.

- Naprawdę tak myślisz?

- Jak najbardziej - zapewniła Rebeka i z determinacją odrzuciła niesforny lok z czoła.

- Wspaniale. Już od dzisiaj możesz zacząć prezentować mi wszystkie swoje zalety.

- Co masz na myśli?

- Raleigh Hanlon zadzwonił do mnie rano z Daleville i zamówił na dzisiejszy wieczór poczęstunek dla gości, których musi podjąć u siebie w domu. Zajęty problemami z siostrzenicą zapomniał chyba, że to na niego przypada kolej urządzenia świątecznego przyjęcia dla wydziału. Możesz mi pomóc w realizacji tego zamówienia. Muszę wykonać mnóstwo telefonów w związku z organizacją naszego zjazdu, a poza tym obiecałam Paige, że nauczę jej małe przyjaciółki przygotowywać ozdoby choinkowe.

- Czekaj, czekaj, chcesz mnie namówić, bym podawała ciasto profesorskiemu gronu? - spytała Rebeka, wyobrażając sobie, jak bardzo czułaby się niezręcznie, przebywając pod jednym dachem z tyloma utytułowanymi znakomitościami; ona, która z ledwością zrobiła maturę.

- Zasłużysz na dozgonną wdzięczność mojej pięcioletniej córki.

- Dobra wola może przenosić góry, ale nie wiem...

- Reb pomyśl tylko, że nadarza ci się okazja; by wyrzucić Wrażenie na Raleighu Kanionie... tym razem w kompletnym stroju.

Godzinę później Rebeka w profesorskiej marynarce narzuconej na ramiona stała przed tylnym wejściem jego domu. Prawą ręką przytrzymywała na biodrze donicę z wspaniałą gwiazdą betlejemską, w lewej dźwigała torbę pełną ciasta. Próbowwała przy tym poprawić czarną kokardę zawiązaną pod szyją, która to ozdoba stanowiła element firmowego stroju. Rebeka włożyła go na prośbę przyjaciółki. Dopełniały go plisowana, smokingowa koszula, szkocki szal w czerwonej kratę i czarne spodnie. Wyglądała doprawdy bardzo oryginalnie.

- Reb Barnett - szepnęła do siebie - gdyby cie widzieli starzy przyjaciele...

W chwilę potem otworzyły się drzwi i Raleigh, nie patrząc na wchodzącą osobę, pomachał jej ręką na powitanie. Prowadził rozmowę przez telefon i wydawał się nią wielce zaabsorbowany. Rebeka weszła do środka i obrzuciła dawnego profesora uważnym spojrzeniem. Miał na sobie nie dopiętą koszulę w kolorze starego wina, spod której wyłaniał się gęsty, ciemny zarost na piersiach. Podwinięte rękawy odsłaniały elegancki zegarek i muskularne przedramiona. Z szyi Hanlona zwisał granatowy, nie zawiązany krawat. Wizerunek mężczyzny uzupełniały okulary w szylkretowej oprawie, które zapewne wkładał do czytania. Teraz zsunęły mu się na czubek nosa. Reb uśmiechnęła się lekko na myśl, ile uciechy miałyby dzięki tym okularom dziesięć lat temu.

- Nie zgadzam się z tobą, kochanie - rzucił Hanlon do

słuchawki, spoglądając na kartkę trzymaną w ręce. - Penny, uważam, że twoja mama ma rację, ustalając godzinę, o której masz wracać do domu. Ja... Nie odkładaj słuchawki, młoda damo! A niech to lichy...!

Raleigh odstawił telefon na miejsce.

- Megan, cieszę się, że jesteś... - zaczął i aż zamrugał oczami ze zdziwienia, gdy zorientował się, kto przed nim stoi. - To jakiś nowy żart? - spytał całkiem zdezorientowany.

Żart! Przecież nie pojawiła się w skórzanej minispódniczce i ciężkich, wojskowych butach, które zwykła nosić przed dziesięciu laty. Nie była też naga. Rebeka odrzuciła z czoła niesforne loki i westchnęła ciężko, uświadamiając sobie, iż znalazła się tu po to, by udowodnić, że się zmieniła na lepsze, więc nic nie powinno wyprowadzić jej z równowagi. Niech Hanlon mówi, co chce, ona nie odstąpi od swego zamiaru.

- Zaofiarowałam się pomóc Megan, która musiała poświęcić dziś czas córeczce - wyjaśniła, doskonale wiedząc, że to jedynie część prawdy.

Spuściła wzrok. Profesorska koszula była rozpięta aż do pasa. Rebeka jak zahipnotyzowana wpatrywała się w gęsty, ciemny zarost nad pępkiem. Wreszcie zamrugowała gwałtownie

- Musiałam przewędrować przez całe miasto - rzuciła.

Profesor Hanlon wsparł rękę na biodrze i popatrzył na dawną uczennicę.

- No i co z tego?

Rebeka zabębniła palcami o ciężką donicę z gwiazdą betlejemską i przytrzymała oczy.

- Zapomniałeś, że tu mieszkam? - spytała ostrzejszym tonem.

— Lecz teraz pracujesz dla Megan Sloan?

Znowu to samo. Nutka sceptycyzmu w głosie Hanlona świadczyła, iż niczemu nie dowierzał. Obawiał się, że Reb nie wszystko jeszcze powiedziała.

- Tylko dzisiaj wieczorem - odparła z ciężkim westchnieniem. - Nie przejmuj się tak. Nie pokruszyłam ciasta.

Hanlon odczekał kilka sekund, a potem zrobił minę człowieka pogodzonego z losem. Złożył kartkę, którą trzymał w ręku, i wsunął ją do kieszeni. Gdy to czynił, koszula rozchyliła się jeszcze bardziej, ukazując skryte wśród zarostu ciemne sutki.

- Oczywiście, że nie pokruszyłaś, lecz tylko Megan wie, jak miało wyglądać całe przyjęcie. Nie chciałem, by wypadło zbyt oficjalnie...

- Wszystko mi wyjaśniła. Zaraz rozpakuję torbę i biorę się do pracy - rzekła zwracając mu marynarkę.

Profesor skinął głową i wskazał drzwi jadalni.

Rebeka czuła, że ogarnia ją fala gorąca. Choć panowała nad sobą, widok nagiej, muskularnej piersi mężczyzny wywarł na niej niezwykle wrażenie. Udając spokój, podążyła we wskazanym kierunku.

- Nie wygrasz ze mną, Hanlon - mruknęła, stawiając doniczkę na kredensie i wyciągając z torby biały adamaszkowy obrus.

Rozłożyła go na stole i zaczęła wygładzać jego brzegi.

- Co z tego, że masz najwspanialszą klatkę piersiową, jaką kiedykolwiek widziałam? - powiedziała do siebie gniewnym szeptem, lecz kiedy stanął jej przed oczami obraz Raleigha w rozpiętej koszuli, zamarła w bezruchu. Pochyliwszy głowę, przyglądała się białym wzorom na adamaszkowej materii.

Gładząc obrus opuszkami palców, wyobrażała sobie, że dotyka ciała Raleigha, czuje ciepło jego skóry i bicie serca. Gdy uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, oderwała ręce od stołu i potrząsnęła głową. Naprawdę powinna wreszcie zacząć umawiać się na randki. Mogła sobie na to pozwolić, skoro jej biuro turystyczne rozwijało się tak znakomicie. Podeszła do kredensu, wzięła doniczkę z gwiazdą betlejemską i ustawiła ją na środku stołu.

Potem zajęła się wyszukiwaniem zastawy. Gdy klęczała obok otwartych drzwiczek kredensu, do jadalni wszedł gospodarz domu.

- Wyjąłem nakrycia i zaniósłem je do kuchni. Znalazłaś wszystko, co trzeba? - spytał.

- Chyba tak - odpowiedziała, patrząc, jak Raleigh stawia na stole pudełko z ciastem.

Otworzył je, pochylił głowę i przez chwilę delektował się aromatem wypieku. Rebeka przyglądała mu się jak zahipnotyzowana. Nigdy nie przypuszczała, że profesor może zachowywać się tak swobodnie.

Uśmiechając się lekko, sięgnęła do wnętrza kredensu.

- Megan mówiła, że tu trzymasz talerzyki deserowe, ale znalazłam tylko stary album z fotografiami.

Raleigh szybko przykrył pudło z ciastem i ukląkł przy kredensie.

- Wezmę to - rzekł, szybko wyjmując album z rąk dziewczyny. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, Hanlon przyklęknął i pochylił się stroną kredensu, niemalże ocierając się o Rebekę. Poczwała podniecający zapach dobrych męskich kosmetyków. W wyobraźni ujrzała ich oboje leżących w uścisku na podłodze. Ona zanurzała mu palce we włosy i...

- Tu są - rzekł Raleigh, odsuwając na bok wagę do zupy, by wydobyć stos czerwonych, oblamowanych złotym szlaczkiem talerzyków. - Powinno ich być dwadzieścia - dodał, stawiając je na kredensie i podnosząc się z klęczek.

- Dziękuję - odpowiedziała.

Serce biło jej szybko, więc czekając, aż się uspokoi, wlepiała wzrok w album, który teraz leżał na podłodze.

Raleigh ujął ją za ręce i przytrzymał je przez kilka sekund. Ten niewiele znaczący gest odebrała jako coś niezwykłego. Od tak dawna nie miała kochanka, że zapragnęła czegoś więcej. Spojrzała Raleighowi w oczy.

- Moja gospodyni schowała tu album przez pomyłkę - wyjaśnił, ciągle trzymając ją za ręce.

Rebecce zrobiło się duszno. Zaczęła gwałtownie oddychać.

- Dobrze się czujesz? - spytał Raleigh, podtrzymując ją za łokcie.

- Nic mi nie jest... po prostu wstałam zbyt szybko - odparła, walcząc z pokusą przytulenia się do jego piersi tak, by czołem i policzkami poczuć miękkość zarostu.

Raleigh ciągle miał nie dopiętą koszulę.

- Wracam do pracy - oznajmiła i drżącymi rękami sięgnęła po stos talerzyków.

Czemu on nic nie mówi? Dlaczego nie odchodzi? Albo po prostu nie weźmie jej w ramiona i nie zacznie całować? Zacisnęła powieki. Czyżby zwariowała? Co się z nią dzieje? Przecież dzisiejszego wieczoru ma mu udowodnić, że wyrosła.

- Tak, masz rację, weź się do pracy - powiedział w końcu i schylił się, by podnieść z ziemi album. - Muszę jeszcze trochę popracować, zanim zaczną schodzić się goście.

- Nie przeszkadzaj sobie - odrzekła, nie spuszczać oczu z talerzyków, podczas gdy gospodarz domu wychodził z jadalni.

Przez dwadzieścia minut zajmowała się układaniem serwetek, przygotowaniem kawy i ponczu żurawinowego oraz udawaniem, że to, co czuła w obecności Raleigha, to jedynie chwilowe zauroczenie.

Kiedy ustawiła na stole dzbanuszek z mlekiem i cukiernicę, rzuciła okiem w kierunku biblioteki, w której skrył się profesor. Dobiegała stamtąd muzyka Bacha. Rebeka przycisnęła ręce do skroni. Jeśli to tylko chwilowe zauroczenie, czemu drżą jej dłonie? Dlaczego zaschło w gardle? Cóż tak nieodpartego dostrzegła po latach w dawnym nauczycielu?

Przeszła przez korytarz i uchyliła szerzej drzwi prowadzące do biblioteki. Raleigh Hanlon siedział pogrążony w lekturze. Był bez wątpienia atrakcyjnym mężczyzną. Wysoki, szeroki w ramionach, z twarzą o klasycznych rysach i zdrowej, wysportowanej sylwetce, co przy jego typie pracy było dosyć niezwykle. Gęste, ciemne włosy opadały mu na czoło i kręciły się lekko.

Rebeka oparła się o futrynę drzwi i westchnęła cicho. Raleigh Hanlon był najprzystojniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek poznała. Teraz tkwił nieruchomo wśród oprawnych w skórę tomów i nawet nie domyślała się jego obecności. Weszła do pokoju i rozejrzała się dokoła. Trzy ściany, od podłogi do sufitu, wypełniały półki z książkami, na czwartej wisały oprawne w ramki dyplomy. Przy biurku stał skórzany fotel z wysokim zagłówkiem, na którym profesor opierał głowę. Widać było, że to pokój erudyty, człowieka, który ją pociągał i przerażał jednocześnie.

Przygryzła wargę, czując się nieswojo. Nie chciała, by to uczucie się wzmogło, więc wyprostowała się i uniosła głowę. Nawet jeśli słabe świadectwo maturalne uniemożliwiło jej pójście do college'u, ciężką pracą osiągnęła w ciągu dziesięciu lat wszystko, na czym jej zależało. Nie miała czego się wstydzić.

- Przyniosłam ci kawałek ciasta - powiedziała impulsywnie.

Na tle muzyki Bacha jej głos zabrzmiał jak dysonans. Była pewna, że Raleigh tak właśnie pomyślał, gdy zdjął okulary i spoglądał na nią przez nieznośnie długą chwilę. A może to spojrzenie oznaczało coś innego? Czyżby poplamiła się ponczem? Co się stało?

Trzask ognia płonącego na kominku i bicie swojego serca były jedynymi dźwiękami, jakie słyszała. Raleigh uśmiechnął się. Zrozumiała, iż wszystko jest w porządku. Tylko że Bezlitosny Hanlon nigdy dotąd tak się nie uśmiechał.

- Którego ciasta? - spytał.

- Tego, które wachałeś z taką rozkoszą. Orzechowego z kremem - odparła.

Uspokoiała się już na tyle, by dostrzec, że miał zapiętą koszulę i zawiązany krawat.

- Ach, wszystko zauważyłaś.

Odpowiedziała uśmiechem i jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Teraz już Hanlon jej tak nie przerażał.

- Gdzie jest choinka? - spytała.

- Co takiego?

- Choinka. Aniołki nad kominkiem? Świece w oknach? Jemioła? Megan mówiła, że to pierwsze świąteczne przyjęcie w tym sezonie, ale ty chyba nie zaglądałeś do kalendarza.

- Gwiazda betlejemska nie wystarczy? - spytał groźnym tonem.

- Nie - odparła podobnym tonem i oboje roześmieli się -głośno

Raleigh nie przestawał patrzeć na Rebekę, lecz skoro nic nie mówiła, sięgnął po okulary i wziął papiery do ręki.

- To musi być coś interesującego ~ zauważyła, chcąc podtrzymać rozmowę.

- Nie sądzę by cię zajęło.- powiedział i zanim na nią spojrział, najpierw zdjął ze spodni jakiś pyłek.

Rebeka pokryła uśmiechem uczucie przykrości. Skąd miał pewność, że nie kontynuowała edukacji?

- Kto wie - rzekła. - Sprawdź.

- Studiowałaś historię Inków?

- Nieformalnie - odpowiedziała, przeczesując włosy palcami.

Czemu pociły się jej dłonie? Przecież to nie egzamin, a nawet gdyby Hanlon zrobił jej test, pewnie zdałaby śpiewająco.

- Nieformalnie? - powtórzył. - Co to znaczy? - spytał, wskazując jej miejsce na krześle przy kominku.

- Sama trochę czytałam na ten temat - powiedziała, zastanawiając się, czy powinna się przyznawać, ile godzin spędziła na studiowaniu historii prekolumbijskiej, zanim zaczęła oprowadzać grupy turystyczne po ruinach Machu Picchu i terenach wykopalisk archeologicznych w północno-wschodnim Peru.

Nie miała zamiaru się przechwalać ani tym bardziej się bronić.

-Zadziwiające - rzekł profesor. - Gdy byłaś moją uczennicą, niemal siłą wciskałem ci książki od historii do rąk, by skłonić do lektury.

- Od tego czasu minęło dziesięć lat.

Rebeka zbliżyła się wolno do niskiego stolika, ustawionego obok kanapy, i pochyliła się nad nim. Wtedy Raleigh uprzytomnił sobie, że zostawił tam album szkolny otwarty na stronie, na której wklejone było jej zdjęcie. Rebeka z uśmiechem spojrzała na Raleigha, a potem szybko przeniosła wzrok na fotografię.

- Widzę, że profesorowie historii spędzają trochę czasu, grzebiąc w przeszłości - zauważyła, podnosząc album.

Raleigh odwrócił głowę, by spojrzeć na zegarek. Za piętnaście ósma. Gdybym dziś po południu nie spędził tyle czasu na wertowaniu szkolnego albumu, pewnie skończyłbym pracę, pomyślał, zgarniając papiery do szuflady biurka. Tymczasem przeglądał zdjęcia i myślał o Rebecce. Kiedy zaczął sobie przypominać jej nagą postać w basenie, a potem chwilę, gdy stała tak blisko niego, okryta tylko ręcznikiem, przychodziły mu do głowy same wariackie pytania.

Co, u licha, skłaniało tę dziewczynę do tyłu wygłupów w szkole? Czy byłem dla niej zbyt surowy? A może przeciwnie? De serc zdążyła złamać? Co się z nią działo przez minione lata? Kiedy przeobraziła się w tak piękną kobietę?

- Dlaczego otworzyłeś album na tej...? - zaczęła, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

Profesor spostrzegł wyczekujący wyraz twarzy Rebeki, lecz dzwonek rozległ się po raz drugi, a towarzyszył mu dźwięk telefonu. Raleighowi przydało się teraz opanowanie, które ćwiczył przez ostatnie osiemnaście lat.

- Czy mogłabyś otworzyć drzwi i zaprosić gości do biblioteki? - spytał.

Wziął talerzyk z ciastem, które dla niego przyniosła, i dodał:

— Odbiorę telefon w kuchni.

Pięć minut później odwiesił słuchawkę. Wysłuchawszy listania narzekań bratanicy, podążył myślami ku Rebecce. Na litość boską, kiedy ją uczył historii, była rówieśnicą Penny.

Wkładając marynarkę, przypomniał sobie, jak prezentowała się w niej panna Barnett. Nawet jeśli popielate, tweedowe okrycie było na nią za duże, nie powiedziałyby, że wyglądała w nim jak dziecko. A kiedy schyliła się, by podnieść rękawik... Raleigh poczuł, że zasycha mu w gardle, a ciało przynikają dreszcze. Szybko zapiął guziki marynarki i poprawił krawat. W końcu czekali na niego goście.

Sięgnął po ciasto z kremem i nadgryzł kawałek. Znowu pomyślał o Rebecce. Kiedyś naprawdę zalazła mu za skórę, ale to było dawno temu. Do licha, cóż za szalone myśli nachodziły go przez ostatnich parę godzin. Był o wiele starszy od Rebeki. Myśl, że mogłoby ich coś łączyć, wydała mu się absurdalna.

Gdy sięgnął do klamki, by otworzyć drzwi jadalni, Rebecka uchyliła je z drugiej strony. Była zarumieniona, miała włosy w lekkim nieładzie. Wyglądała tak czarująco, że profesor Hañlon niemal zapomniał o wysnutych przed chwilą wnioskach.

- Kto przyszedł? - zapytał, gdy szybko zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie.

- Dziekan Gallahan - odrzekła, hamując wybuch śmiechu.

- Co cię tak śmieszy?

Przycisnęła dłonie do szkockiego szala, który okrywał jej ramiona, i próbowała się opanować, a potem złapać oddech.

- Och, zawsze myślałam, że wszyscy profesorowie są bardzo nudni, lecz ten stanowi wyjątek. Wypytywał o moje sprawy. Zaczęłam wyjaśniać, że jestem tu tylko po to, by przygotować przyjęcie, lecz wtedy powiedziała:

- No dobrze, można to i tak nazwać. Miał nieprzyzwoite myśli - dodała.

- Nieprzyzwoite? - powtórzył z uśmiechem Raleigh, nie wyobrażając sobie, by mogło się to odnosić do siwowłosego dżentelmena.

- Oczywiście. Nie zauważyłeś?

- Co miałem zauważyć? - spytał. Przestał się uśmiechać i zaczął modlić w duchu, by dzisiejszego wieczoru bogowie mieli go w opiece, jeśli jego obawy okazałyby się słuszne.

- Och, spójrz na siebie - rzekła Rebeka, zbliżając się o krok.

Zmieniła temat i ton, sięgając dłonią ku jego twarzy.

- Masz krem tutaj... i tutaj - powiedziała, ścierając kciukiem ślady profesorskiego łakomstwa.

Jej gest wydawał się zupełnie niewinny, dopóki nie ściągnęła ust w charakterystyczny sposób. Raleigh zapomniał o tym, co sobie przed chwilą obiecał. Nigdy dotąd żadna dziewczyna nie wydawała mu się tak fascynująca.

Przykrył jej dłoń swoją ręką i szepnął:

- Rebeko...

W tym momencie rozległ się kolejny dzwonek u drzwi.

Profesor Hanlon wrócił do rzeczywistości, choć ciągle jeszcze wpatrywał się w oczy Swojej dawnej uczennicy. Znał granice. Narzucił je sobie wiele lat temu.

- Mówiłaś coś o dziekanie? - spytał, cofając się o krok.

Rebeka rzuciła mu zagadkowe spojrzenie i uśmiechnęła się znacząco.

- On myśli, że jestem twoją ostatnią...

- Kim? - spytał. W tym momencie ktoś znowu zadzwonił do drzwi. Raleigh roześmiał się.

- Kochanką - rzuciła i uniosła głowę, gdy nie zareagował.

- Słyszysz mnie? Mówię, że on uważa nas za kochanków.

- Rozumiem.

- Więc czemu już się nie śmiejesz?

- Panno Barnett, muszę otworzyć drzwi...

Uniosła rękę i oparła ją o framugę by zablokować mu drogę

- Czemu nie nazywasz mnie Reb? Myślałam że posunęliśmy się tak daleko...

- Niemi o tym nie wiadomo - odparł, dziwiąc się, czemu w ogóle pozwolił jej siebie dotknąć.

- Naprawdę? - spytała z podstępny błyskiem w oczach. Z drugiej strony drzwi, rozległ się głos dziekana

- Wiedziałem, że tak będzie.

Panno Barnett; to wszystko na dzisiaj - rzekł profesor Haulon.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć.

- Idź już ponagli ją, gdy się zawahała.

Ominęła go i skierowała się do tylnego wyjścia. Kładąc rękę na klamce, czuła, że drży. Obejrzała się przez ramię.

- Raleigh?

- Tak?

- Ciagle masz jeszcze... - Dotknął palcem ust.

Starł z warg resztki kremu, a potem rzucił stanowczo:

- Idź stąd! Natychmiast!

Próbował nadać głosowi stanowcze brzmienie, choć czuł się niepewnie.

- Jak za dawnych czasów... panie Hanlon.

Głos Rebeki dźwięczał mu w uszach jeszcze długo po tym, gdy zamknął za nią drzwi. Potrząsnął głową i skierował się do jadalni.

- Dawniej nigdy tak nie bywało, Rebeko.

ROZDZIAŁ TRZECI

Raleigh kończył już zabezpieczać basen przed zimą, gdy rzucił okiem na mieszkanie nad garażem. Minęły dwa dni od spotkania z Rebeką, a on ciągle walczył ze sobą, nie wiedząc, jak postąpić z tą dziewczyną. Wydawało się, że najrozsądniej będzie zignorować jej obecność. Tak ostatecznie postanowił zrobić. W końcu ile kłopotu może w ciągu miesiąca sprawić jedna kobieta.

Wkrótce jednak naszły go wątpliwości. Rebeka Barnett nie była zwyczajną kobietą, lecz istotą niezwykle seksowną, zdolną pobudzić zmysły każdego mężczyzny. Mieszkała blisko niego, po drugiej stronie podjazdu. Być może ona poradzi sobie w tej sytuacji, natomiast on z pewnością będzie miał poważny kłopot. Nie potrafił zignorować obecności Rebeki, ponieważ nie był w stanie wyrzucić z pamięci chwil, które przeżyli razem w jego mieszkaniu.

Wsunął ręce do kieszeni i skierował się do furtki. Pozostało tylko jedno wyjście, uznał, zamykając ją za sobą. Panna Barnett musi poszukać innego mieszkania. Bowiern odkąd ją zobaczył...

- W końcu przygotowałeś basen do zimy? - usłyszał.

Rebeka siedziała na schodach obok garażu, a przy niej stała para ubłoconych butów. Zaróżowione policzki dziewczyny świadczyły o tym, że od dawna przebywa na dworze.

Uśmiechała się pogodnie. Gdy Raleigh nie odpowiedział dość szybko, Zsunęła baseballową czapkę na tył głowy i oparła się łokciami o stopień schodów. Na stopach miała tylko skarpety. Założyła nogę na nogę i spoglądała z góry na gospodarza posiadłości.

- Dobrze zrobiłeś, bo inaczej, kto wie, co jeszcze mogła-
bym wymyślić - rzekła, wzruszając ramionami.

Najwyraźniej żartowała sobie z niego. Świadczył o tym jej przewrotny uśmiech, lecz Raleighowi różne pomysły przy-
chodziły do głowy. Wyobraził sobie na przykład nagą Rebeke
na łyżwach. Wiedział, że byłoby ją stać na taki wybryk. Na-
leżało to ukrócić.

- Lepiej niczego nie kombinuj - zauważył, podchodząc
do schodów.

Postawił nogę na pierwszym stopniu i skrzyżował ra-
miona.

- Przepraszam za tamten wieczór. Nie mogę sobie wyba-
czyć, że zachowałem się tak obcesowo.

Rebeka pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach.

- Rzeczywiście nie rozumiem, dlaczego tak mnie potra-
ktowałeś, lecz musiał istnieć po temu jakiś powód.

Na jedno mógł niezawodnie liczyć. Rebeka Bamett zawsze
trafiała w dziesiątkę. Jej spojrzenie świadczyło wyraźnie, że
nie uda się wymigać uprzejmym kłamstwem na temat, kło-
potów z bratanicą lub własnego przepracowania.

- Nadal czuję się nieswojo po tym, jak... spotkałem cię...
na basenie. Moim zdaniem nie powinnaś tutaj...

- Przestań! - zawołała, unosząc dłoń. - Zostało ci trochę
ponczu?

- Ponczu? Tak - odparł, zastanawiając się, o co jej chodzi.

No to świetnie.

- Świetnie?

- Skoro zastawiasz się, jak by tu wyeksmitować mnie w uprzejmy sposób, tymczasem możesz przynieść poncz. Podgrzeję go w mikrofalówce. Zmarzłam.

Wstała, podeszła do drzwi, a potem odwróciła się i przy-
mknąwszy oczy, głęboko wciągnęła powietrze w płuca.

- Czuję zapach śniegu.

Śniegu? On ledwie oddychał, bo kiedy Rebeka uniosła ręce, spod krótkiego sweterka ukazała się jej smukła talia i skrawek jędrnego brzucha.

- Nie czujesz zapachu śniegu? - spytała, jakby zupełnie nie przyjęła do wiadomości faktu, że profesor Hanlon chce się jej pozbyć ze swojego domu...

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Myślę, że jeśli wcześniej zaczniesz padać, będzie dużo śniegu na święta. Go o tym sądzisz, Raleigh?

- Białe Boże Narodzenie. Oczywiście - odrzekł bez prze-
konania.

Nie zamierzał zawracać sobie głowy świętami. To był kolejny powód, by pozbyć się tej dziewczyny. Gdyby zabrakło śniegu, gotowa sprowadzić sztuczny i tańczyć nago wokół choinki na podwórku. Znowu wyobraził ją sobie nagą. Opu-
ścił ramiona i potrząsnął głową.

- Przyniosę poncz - powiedział.

- Wspaniale - ucieszyła się, wchodząc do mieszkania. - Przygotuję prażoną kukurydzę.

- Nie robimy żadnego przyjęcia! - zawołał, ale dziewczyna zniknęła już za drzwiami.

Nie minęło pięć minut, a już pukał do jej drzwi. W rę-

ku trzymał plastikowy pojemnik z napojem. Naprawdę nie zamierzał wydawać przyjęcia, chciał natomiast wykorzystać okazję, by w uprzejmy sposób wymówić Rebecę mieszkanie.

Raleigh prześliznął się wzrokiem po zabłoconych trampkach zostawionych za drzwiami. Skąd się wzięło na nich błoto? W Follett River nie padało przecież od tygodni, nigdzie nie stały kałuże. Rozejrzał się, zapukał do drzwi i pocierając brodę w zadumie, jeszcze raz przyjrzał się butom dziewczyny. Nie był zadowolony z siebie. W końcu miał chyba ciekawsze zajęcia niż zajmowanie się zabłoconymi trampkami.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich uśmiechnięta, promieniująca energią Rebeka.

- Nie robimy przyjęcia - wymknęło mu się odruchowo.

Rebeka oparła głowę o futrynę i dotykając biodrem framugi drzwi, przyjrzała się uważnie Raleighowi.

- Co my tu widzimy? Przycesałeś włosy, ale sienie ogoliłeś. Zapewne masz rację. To rzeczywiście nie jest przyjęcie - przyznała, cofając się do wnętrza mieszkania - tylko sposób na uprzejme pozbycie się lokatorki - dodała, zapraszając go do środka.

- W porządku. Chcesz mi coś powiedzieć? Słucham - rzekł.

- Ostatnim razem widziałam cię w dżinsach i koszulce na boisku obok masztu flagowego, gdy robiłeś mi wymówki, pamiętasz?

Dzięki Bogu, to bezpieczny temat, pomyślał, stawiając pojemnik z ponczem na kuchennym stole.

- Pamiętam. Padał śnieg, a ty byłaś wściekła, bo za karę zabroniłem ci jechać na narciarską wycieczkę z resztą klasy.

Na znak protestu usiadłaś na zewnątrz i nikt nie mógł cię skłonić, byś wróciła pod dach. Więc wezwali mnie, bym ci wszystko wyperswadował.

- Tak było - przyznała i kręcąc się po małej kuchni, trąciła go biodrem.

- Przepraszam - rzuciła, a potem sięgnęła po kubki.

Postawiła je na stole, otworzyła pojemnik z ponczem i napełniła naczynia.

- Do dziś widzę cię, jak idziesz przez zaśnieżone boisko. Trzęsąc się z zimna, stałeś tam ze dwadzieścia minut i wbijałeś mi do głowy, jak bardzo ta forma protestu może zaszkodzić mojemu zdrowiu.

Raleigh spojrzął na nią, gdy zamykała pojemnik. Był tak blisko, że mógł odgarnąć lok z jej czoła i delektować się jej zapachem zmieszonym z wonią żurawin. Odetchnął głęboko, by się uspokoić.

- Wiesz, co mi wtedy odpowiedziałas?

Rebeka przygryzła wargę, by się nie roześmiać, gdy rozległ się gong mikrofalówki.

- Czemu nie odświeżysz mi pamięci? - spytała, wyciągając z piecyka kukurydżę i wsypując ją do salaterki.

Raleigh wziął ze stołu kubki z ponczem i wstawił je do kuchenki. Zamknął urządzenie, nacisnął kilka guzików, a gdy mikrofalówka zaczęła pracować, spojrzął na dziewczynę.

- O ile pamiętam, poradziłaś mi, bym pilnował swego nosa.

Roześmiała się tak szczerze i radośnie, że mógł jej tylko zawtórować, choć wcale nie zamierzał podtrzymywać dobrego nastroju dziewczyny.

- Zawsze byłaś takim... niespokojnym duchem?

Wyciągnęła rękę i ścisnęła go za ramię. Od dawna nikt nie dotykał go w ten sposób. Raleigh przełknął ślinę. Rebeka Barnett pozbawiała go zdolności samokontroli, każdym nerwem czułej obecność.

- Raleigh - zaczęła żartobliwym tonem. - Nigdy nie dzwonił mi w uszach ostrzegawczy dzwoneczek, jeśli o to ci chodzi. A tobie? - spytała, czerpiąc pełną garścią kukurydzą z miski.

- Mnie? .

- Czy zawsze byłeś tak bardzo roztropny?

- Mówisz o odpowiedzialności? - upewnił się, przypominając sobie twarz brata, Buddy'ego.

- Nie, o roztropności - odparła, podsuwając mu kukurydzą.

Odchrząknął i odwrócił wzrok, bo zbyt mocno osaczało go wspomnienie Buddy'ego.

- Kiedyś miałem diabła ze skórą, podobnie jak wiele dzieci, ale wyrosłem z tego -, powiedział, spoglądając na Rebeke.

- Ja też - podkreśliła.

Podniosła nieco głos, bo rozległ się właśnie gong mikrofalówki, i spojrzała na Raleigha z wyzwaniem w oczach.

- Zauważyłem to, widząc cię pewnego dnia w basenie - rzucił, mając nadzieję, że po tej uwadze Rebeka straci ochotę do zadawania dalszych pytań.

- Tak też myślałam - rzekła, zahaczając łokciem o kłamkę drzwi wejściowych.

Otworzyła je, wzięła do ręki miskę z kukurydzą i wyszła z kuchni na zalaną słońcem werandę.

-Przynieś tu poncz! - zawołała.

Raleigh chwycił kubki i podążył za Rebeką.

- Dziekan Callahan napomknął, że pracujesz w agencji turystycznej w Miami. Od dawna się tym zajmujesz?

- Od prawie siedmiu lat - odrzekła.

Usiadła w rogu na kanapce, wyciągnęła nogi przed siebie, postawiła miskę z kukurydzą na kolanach i sięgnęła po kubek z ponczem.

- Od czterech lat jestem właścicielką tej agencji.

- Właścicielką? - powtórzył, sadowiac się na drugim końcu kanapki.

- Naprawdę cię to dziwi - stwierdziła z zadowoleniem, choć nie było po temu specjalnych powodów.

- Po prostu... nie przypuszczałem, że tak świetnie sobie poradzisz - odparł, pocierając nie ogolony podbródek.

- Trudno się dziwić. Miałam takie słabe stopnie i okropnie się zachowywałam. Każdy miał prawo sądzić, że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie. Na szczęście odkryłam coś, co naprawdę lubię robić - powiedziała, częstując go kukurydzą, a gdy odmówił, ustawiła sobie salaterkę znów na kolanach. - Ta praca to część mojej osobowości.

- Która część?

- Przywódcza, organizatorska, lubiąca przygody. Kiedy rozmawiam z turystami, uprzedzam ich, że wyjazdy z „Nowym Horyzontem”, bo tak się nazywa moje biuro, przeznaczone są dla odważnych, lubiących mocne przeżycia. Właśnie wróciłam z miesięcznej wyprawy do Ameryki Południowej - powiedziała, wdychając zapach żurawin płynący z kubka.

- To dość niebezpieczne, prawda?

- Nikogo nie chciałabym narażać na niebezpieczeństwo. Odczekam, aż wyjaśni się tam sytuacja polityczna, i dopiero potem zorganizuję wyjazd. Dlatego byłam taka podniecona,

gdym zadzwoniła Megan z wiadomością o zjeździe koleżeńskim. To oznaczało powrót do Follett River.

- Czemu tak mówisz?

- Rok temu zmarł mój ojciec; Próbowałam przyjeżdżać tu jak najczęściej, by Widywać się z mamą, ale krótkie weekendowe spotkania nie wystarczają. Muszę tu Załatwić parę spraw, więc planuję wyjechać po świętach. Zjazd koleżeński to dodatkowa okazja

- Więc czemu nie mieszkasz rodziną? - spytał z zacięciem;

- Byłam w domu przez parę dni - rzekła, stawiając miskę z kukurydzą na poduszce. - Ale niedawno przyjechała moja siostra z trojką dzieci: Wspaniali malcy. W ogóle nie można przy nich pracować. Myślałam, by wynająć pokój w hotelu, lecz tyle czasu spędzam w hotelach, że potraktowałam to jako ostateczność. Kiedy Megan powiedziała, iż do Nowego Roku mieszkarue u ciebie będzie puste, pomyślałam, że to właśnie to czego potrzebuję-ciągnęła.

A czego potrzebujesz?

Popatrzyła na okna werandy i zabębniła palcem o kubek z ponczem, czując, że serce zaczyna jej mocniej bić w piersi.

- Jakiegoś zacisznego kąta na miesiąc i tymczasowego biura telefonem, do którego mogłabym podłączyć faks. Brat Megan ma tu nawet Wolną linię - zauważyła, podnosząc się i podchodząc do okna. - Poza tym podoba mi się ta cicha uliczka, nieodległa od centrum. Za tydzień będzie stąd widać świątecznie oświetlone główne arterie, a jeśli przytulisz poli-czek do szyby, zobaczysz rzekę i dęby wokół szkoły.

Gdy odwróciła się, by spojrzeć na Raleigha, odniosła wrażenie, że przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku.

- Więc zamierzasz pracowicie spędzić tu czas - zauważył, podnosząc kubek dó ust.

- Myślę o otworzeniu tutaj filii swojego biura.

- W Follett River?-zapytał.

Łagodne spojrzenie Raleigha i jego przyjazny uśmiech sprawiły, że Reбекę ogarnęła fala ciepła. Ten mężczyzna naprawdę był zainteresowany tym, o czym mówiła.

- Tak. Czyż to nie zadziwiające? Zawsze uważałam, że Follett River to straszna dziura - powiedziała, siadając bliżej Raleigha. - Wiesz, jaki był mój ulubiony cytat, który umieściłam pod swoją fotografią w szkolnym albumie? „Nie czekać, aż wiatr tu wszystko rozwieje”.

Skinął głową, zastanawiając się ponownie, co Rebeka mogła sądzić, widząc album otwarty na stronie, na której umieszczone było jej zdjęcie. Ciekaw był, czy przeczytała podpis i czy go zapamiętała.

- W każdym razie w promieniu wielu kilometrów nie ma tu żadnego biura turystycznego - ciągnęła Rebeka. - W ciągu ostatnich dziesięciu lat rozrósł się college, pociąg zatrzymuje się tu sześć razy dziennie. Z demograficznego punktu widzenia okoliczności zdają się sprzyjać mojemu przedsięwzięciu.

- Widzę, że wszystko przemyślałaś. Masz już jakieś upatrzone miejsce na biuro? - spytał, prostując ramię tak, że tylko kilka centrymentów dzieliło go od ramienia Rebeki.

- Szukałam czegoś odpowiedniego dzisiaj po południu. Za rzeką jest stary magazyn.

Co robiłaś? - zapytał, poruszając się tak gwałtownie, że odrobina ponczu wylała się z kubka.

- Pojechałam za rzekę do starego magazynu.

- Do tego na końcu ulicy Rieger?

- Tak. Słyszałam, że mają go przerobić na pomieszczenia biurowe. Ma tam być restauracja, a w przyszłości przystań rzeczna.

- Rebeko Barnett, te plany to odległa przyszłość, a tymczasem nadrzeczne okolice są bardzo niebezpieczne. Coś ci się mogło stać. Wiesz, że wiosną zdarzył się tam jakiś wypadek spowodowany przez narkomanów?

Skinęła głową i westchnęła, rozpoznając autorytatywny, profesorski ton. Raleigh Hanlon właśnie robił jej wykład o bezpieczeństwie. Nic nie mogła na to poradzić, tylko spokojnie podjadać kukurydzę i czekać na koniec spektaklu.

- Ktoś tam zginął. Deski nadbrzeżnej promenady są przegniłe i...

Raleigh dotknął jednej ze skarpet Rebeki, oglądając ślady błota.

- Powiedz, chodziłaś tamtędy?

- Trochę - odpowiedziała, stawiając kubek na podłodze.

- Brakuje połowy desek i filarów. Mogłaś gdzieś wpaść, połamać kości albo nawet się zabić.

- Nic mi nie jest, popatrz - rzekła, dotykając swojego ramienia. - Mój anioł stróż zawsze stoi obok.

Raleigh nie zwrócił uwagi na te próby złagodzenia nastroju i ciągnął dalej:

- Dzieciaki chodzą tam, żeby strzelać do latarń. Mogłaś oberwać...

- To wszystko? - spytała, wpatrując się w Raleigha szeroko otwartymi oczami i przysuwając się bliżej do niego.

- Tak - odrzekł stanowczo.

- Czemu tak bardzo troszczysz się o moje bezpieczeństwo, skoro i tak zamierzasz się mnie pozbyć?

Zanim zdążył odpowiedzieć, dodała:

- A ja nawet nie streściłam ci najbardziej przerażającego fragmentu.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Nó więc powiedz, co jeszcze trzymasz w zanadrzu? - spytał, unosząc brwi:

- Widziałeś tę linę, która zwisa ze stalowego dźwigara nad dokiem portowym? Kiedy wracaliśmy ze szkoły z Rorym Buchanem, zwykle przeskakiwaliśmy dzięki niej przez rzekę.

- Na Boga, Rebeko, chyba nie powiesz, że i dziś to zrobiłaś? - zawołał.

- Właśnie, ale źle obliczyłam wysokość brzegu i zniszczyłam sobie trampki. Chcesz zobaczyć inne szkody? - spytała, odstawiając naczynie z kukurydzą i zsuwając skarpetę.

Wyprostowała nogę i oparłają na udzie Raleigha tak, by stopa znalazła się w zasięgu jego ręki. Pochyliła się, by odwinąć granatowy mankiet skarpety. Jej twarz znalazła się wówczas blisko twarzy Raleigha.

- Jeśli dobrze się przyjrzyysz, zauważysz ledwie widoczny siniak w okolicach kostki - powiedziała, przesuwając łańcuszek, by mógł coś dostrzec. - Widzisz?

- Nie - odparł, delikatnie dotykając palcami kostki dziewczyny. - Nie wzięłam okularów.

- Możesz mi wierzyć, że to nic poważnego. Nawet nie trzeba było bandażować - wyjaśniła. - Ledwie cokolwiek poczułam - dodała, marząc, by Raleigh uniósł jej nogę wyżej i musnął kostkę wargami. - Naprawdę nic mi się nie stało - zapewniła.

- Nic ci się nie stało - powtórzył miękko, lecz po chwili wrócił do rzeczywistości, odsunął jej nogę i powiedział:

- Po prostu miałaś szczęście.

- Och, Raleigh, gdyby to zależało od ciebie, zabroniłbyś wszystkim jakiegokolwiek rozrywki - odrzekła, siadając po turecku.

Raleigh nic na to nie odpowiedział.

Mógł z łatwością odsunąć się od niej i usiąść na drugim końcu werandy, ale nie zrobił tego. Zachęcona, przesunęła się jeszcze odrobinę, tak, by kolanami dotknąć jego biodra.

- Powinieneś być bardziej elastyczny. - Poruszyła ramionami jak egzotyczna tancerka i przysunęła twarz jeszcze bliżej jego twarzy.

- Rebeko... - rzucił raczej rozpaczliwie niż ostro.

Uśmiechnęła się lekko, a potem opuszkami palców dotknęła warg Raleigha.

- Uprawiasz niebezpieczną grę, młoda damo - powiedział z łatwo czytelnym błyskiem w oczach.

- Wiem - odparła, muskając wargami jego usta.

Pieściła je tak długo, aż się rozchyliły.

- Wiem, że to niebezpieczne - powtórzyła i odsunęła się od Raleigha.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo - powiedział, sadząc ją sobie na kolanach i przyciskając wargi do jej ust.

Rebeka wiedziała już, że nie jest to pocałunek zemsty. Oczekiwała rozkoszy, jaką nawet trudno sobie wyobrazić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego ranka Raleigh zaczął się niemal nienawidzić za to, że nie potrafił się oprzeć urokowi Rebeki Barnett, sposobowi, w jaki wymawiała jego imię, smakowi jej ust. Nie chodziło tylko o zakłopotanie wywołane zuchwałymi pocałunkami dziewczyny. To były długie, głębokie, soczyste pocałunki smakujące żurawinami, prażoną kukurydzą i samą Rebeką.

Dziewczyna chciała zaspokoić ciekawość, on również, przyznawał w duchu, wędrując palcami pod jej sweterek. Rebeka tak wiła mu się w ramionach, że dotykał nagiej skóry, łaknąc jej jak spragniony wody.

Wyszeptał jej imię. Jęknęła słodko. Powtórnie szepnął: „Rebeko”, a wtedy wstrzymała oddech i mocno chwyciła go za ręce. Już nic nie mogło powstrzymać go od pocałunku. Po chwili prażona kukurydza rozsypała się i potoczyła na podłogę, a Rebeka odsunęła się nieco od Raleigha.

- Nie odchodź - poprosił, obejmując dłońmi jej pośladki.

Zawahała się przez chwilę, potem znowu usiadła mu na kolanach i zaczęła namiętnie go całować. Śmiała się cicho, odgarniając palcami włosy z czoła Raleigha.

- Jak bardzo jest to niebezpieczne? - spytała jednym tchem.

Gdzieś w głębi ducha Raleigh słyszał cichy, ostrzegawczy sygnał, lecz świadomie go zignorował. Uniósł biodra. Oddy-

chał z trudem, czując, jak Rebeka otacza go nogami. Upojony reakcją dziewczyny, powtórzył prowokacyjny ruch. Tym razem Rebeka przymknęła oczy z rozkoszy, a on pomyślał, że nigdy dotąd, zachowując się tak niewłaściwie, nie czuł się równie wspaniale.

- Och... Raleigh-szepnęła.

Głodnymi, wilgotnymi pocałunkami pokrywała jego usta, a on odpowiadał jej w ten sam sposób.

Nie spotkał jeszcze podobnej kobiety. W zuchwałej grze toczonej przez śmiałość i pożądanie postawiła na to drugie. Wspaniałe, dzikie pragnienie, które budziło w nim emocje wykraczające poza zwykły, fizyczny akt.

Oparł się pokusie kolejnego pocałunku. Jeśli teraz się nie powstrzyma, potem będzie za późno.

- Spójrz na mnie - powiedział.

Odchyliła się nieco i popatrzyła na niego zamglonymi oczami.

- Nie możemy tego zrobić - uznał, choć w tej chwili marzył jedynie o tym, by móc się z nią kochać.

- Dlaczego? - szepnęła wargami wilgotnymi od pocałunków.

Zadała to pytanie tak po prostu, bez niedowierzania czy nieśmiałości w głosie. Jej otwartość kazała mu przez moment żałować, iż nie może cofnąć tego, co powiedział. Trwało to jednak krótką chwilę, potem wróciła bezradność.

Zsunął Reбекę ze swoich z kolan i posadził obok siebie. Policzył do dziesięciu, wstał, a potem podszedł do okna.

- Wiem, że pragniemy się nawzajem, ale to wszystko. Byłaś moją uczennicą. Nie mógłbym o tym zapomnieć - powiedział.

Martwiłabym się, gdyby tak się stało - odrzekła z le-
dwie dostrzegalnym drżeniem w głosie.

- Zaczynam siwieć - zauważył; dotykając ręką skroni.
- Nie mogę czytać bez okularów. Co ja sobie, u diabła, wy-
obrażałem, całując kogoś o dziesięć lat młodszego?

Uśmiechnęła się, lecz Raleigh uniósł rękę i ciągnął dalej

- Nic nie mów. Przepraszam cię. To nie powinno było się
zdarzyć. Źle oceniłem sytuację, dałem się ponieść...

Rebeka roześmiała się głośno.

- Czy to takie śmieszne? zdziwił się.

- Histeryczne - uznała.

- Normalna reakcja na niezręczną sytuację w której się
znaleźliśmy, ale gdybyś się kontrolowała...

Odetchnęła głęboko, a potem zakryła usta dłonią, by znów
się nie roześmiać.

- Och, Raleigh, gdybyś mógł się teraz zobaczyć. Stoisz
obrażony, ż miną świętoszka, choć oboje wiemy, że to wszy-
stko cieszyło cię tak samo jak mnie—Zaczerpnęła tchu i ciągnę-
nęła dalej: - Lepiej powiedz, co tak naprawdę skłania cię do
tego wykładu.

Szczerocć tonu wyraźnie wskazywała, że Rebeka niczego
nie ukrywa i niczego się nie obawia. Była jego przeciwień-
stwem i dlatego jeszcze mocniej jej pragnął.

- No więc? - zapytała z rozbawieniem i niecierpliwoscia
w głosie.

Patrzył w okno na nagie gałęzie drzew poruszane wia-
trem. Jak mógł jej odpowiedzieć, skoro sam bał się spojrzeć
prawdzie w oczy, bo zmuszało go to do wspomnień o bra-
cie. Zawsze wracał pamięcią do Buddy'ego, lecz tym ra-
zem wszystko wyglądało inaczej. Po raz pierwszy od je-

go śmierci poczuł w sobie ducha wolności. W przeciwieństwie do Buddy'ego Rebeka uosabiała czar i kobiecą zmysłowość, niosła jednak z sobą wspomnienie tylu komplikacji z przeszłości, że Raleigh zaczynał wątpić we własny rozsądek.

Pocierając czoło, przypomniał sobie, iż po śmierci Buddy'ego postanowił, że nie dopuści, aby ktokolwiek jeszcze tak mocno poruszył mu serce.

- Rebeko, spróbujmy określić, co to było.

- Proszę bardzo - zgodziła się z iskierką rozbawienia w oczach.

- Gra, którą oboje niewłaściwie rozegraliśmy - orzekł, patrząc na dziewczynę siedzącą na kanapie.

Miała włosy w nieładzie uczynionym jego rękami, wargi obrzmiałe od pocałunków, policzki pokłute jego zarostem. Górny guzik sweterka był ciągle rozpięty. Czyżby to również było jego dzieło? Przez cały czas wpatrywała się w Raleigha rozmarzonym spojrzeniem. Gdyby nie spuścić oczu, wystarczyłby ruch małego palca Rebeki, a ruszyłby ku niej.

Zagryzła dolną wargę. Raleigh zbliżył się o krok i zatrzymał się znowu.

- Do licha, zapomnijmy, że tu w ogóle byłem - rzucił, a potem skierował się w stronę kuchni.

Rebeka podążyła za nim. Gdy odwrócił się, by się pożegnać, zrozumiał, że oboje teraz udają.

- Raleigh? - zawołała słodkim, uwodzicielskim głosem.

Zbliżył się do niej, marząc, by jeszcze raz wziąć ją w ramiona i poczuć smak dziewczęcych ust.

- Słucham.

Stanęła tak blisko, że stopami niemal dotykała czubków jego butów.

- Nie zapomnę o tym, co między nami zaszło, dopóki się czegoś nie dowiem.

Hanlon zadrżał, gdy Rebeka zwilżyła językiem wargi. Patrzyła na niego w taki sposób, że ogarnęła go bezsilność. Ta dziewczyna miała go w swojej mocy od chwili, gdy ujrzała ją nagą w basenie.

- Pytaj więc - zachęcił, przysuwając Się jeszcze bliżej.

- Gzy chcesz się mnie stąd pozbyć?

Miał sucho w ustach. Popatrzył na dłonie Rebeki i odparł:

- Nie martw się tym.

Zdawał sobie sprawę, że czekają ich cztery tygodnie, które będą trudne dla obojga.

- Wyjaśniłaś, dlaczego potrzebujesz tego mieszkania, i to mnie przekonało.

- Nić masz nic przeciwko temu, bym się tu zatrzymała?

•"Oczywiście, że nie - zapewnił, kładąc rękę na balustradzie schodów.

Rebeka oparła głowę o framugę drzwi i rzuciła mu filiterne spojrzenie.

- Bo jeśli nie życzysz sobie, bym tu została, musisz mnie wyrzucić siłą - rzekła i roześmiała się. - Naprawdę musisz chcieć, bym zamieszkała w pobliżu.

Rebeko, nie kuś losu - powiedział, schodząc o dwa stopnie w dół.

- Och, Raleigh?

Nie zatrzymał się, dopóki nie zszedł ze schodów. Obejrzał się, wdzięczny losowi, że dzieliło ich teraz szesnaście stopni.

- A co z moim aniołem stróżem? Odchodzi. - Strzepnęła

wyimaginowaną postać z ramienia. - Niepotrzebny mi już, skoro mam ciebie - dodała, uśmiechając się na pożegnanie i weszła do mieszkania.

Raleigh stał u stóp schodów wpatrzony w zamknięte drzwi, dopóki nie zorientował się, że na oczy spadają mu płatki śniegu. Duże, puszyste płatki, które w każdym budzą zachwyt dziecka, obiecując wiele radości i kłopotów.

Rebeka siedziała nad figurką renifera i czyściła ją wilgotną gąbką, rozmyślając o ostatnim spotkaniu z Raleighem. Przy nim mogłaby zapomnieć o wszystkich innych mężczyznach. Dotknęła dłonią płonących policzków, próbując jakoś wytłumaczyć sobie tę fascynację dawnym nauczycielem.

Jedno było pewne. Fakt, iż zaofiarowała się pomóc przy świątecznym dekorowaniu kawiarni „Czekoladka”, nie sprawił, by przestała myśleć o profesorze. Kiedy tylko przymykała oczy, zaczynała go sobie wyobrażać, a ciało przenikały rozkoszne dreszcze. Poruszyła się niespokojnie na ustawionej pod oknem kawiarnianej kanapce i uśmiechnęła się lekko, biorąc w dłonie figurkę Świętego Mikołaja.

- Tu jesteś. Co się dziś z tobą dzieje? - spytała Megan.
- Nawet nie zachichotałaś, gdy ci powiedziałam, że Anita nie weźmie udziału w zjeździe, bo idzie do klasztoru.

Rebeka umieściła w oknie figurkę Świętego Mikołaja obok figurki biegnącego renifera i potrząsnęła głową.

- Nie będę przed tobą udawać, Meggie - rzekła. To przez Raleigha Hanlona. Dprowadza mnie do szaleństwa.

- Co takiego? - Megan usiadła obok koleżanki. - Myślałam, że przeżywacie coś romantycznego.

- To prawda. Tylko że on nie... jak by ci to powiedzieć...

nie posuwa się dalej, choć wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że tego pragnie.

- Co go powstrzymuje?

Powiada, że jest dla mnie za stary. Że był moim nauczycielem i siwieją mu włosy,

- Naprawdę uważasz że parę siwych włosów to wystarczający powód, by nie...?

- Wzruszające, prawda?

Obie zgodnie pokiwały głowami, a potem zaczęły chichotać. Gdy wreszcie się opanowały, Rebeka rzekła

- Żarty na bok, myślę...

-No, powiedz wreszcie - ponagliła Megan.

- Obawiam się, że profesor Hanlon zachowuje się tak powściągliwie dlatego, że moja osoba budzi w nim niepokój. Nie chodzi o jego wiek czy siwe włosy.

- Czemu tak mówisz?

On jest wykładowcą historii. Przywiązuje dużą wagę do przeszłości. Być może, niezależnie od tego, co zrobiłam ze swoim życiem dla niego zawsze będę niespokojnym duchem szkoły, dziewczyną, która sprawia kłopoty.

- Teraz twoje słowa brzmią patetycznie - zauważyła Megan.

- Masz rację. To głupie. O czym ja myślę? Zbyt ciężko pracowałam, by wracać do przeszłości. A profesor Hanlon jest po prostu płytki - powiedziała. - Myślę, że on coś ukrywa - dodała.

- Można to jakoś zbadać - podsunęła Meggie, spoglądając w okno.

Właśnie ujrzała na ulicy Raleigha Hanlona, który z pakunkami i teczką w ręku zmierzał w kierunku kawiarni. Poruszał

się z gracją lekkoatlety. Megan widziała, jak wiatr unosi mu krawat i zarzuca go na klapę marynarki.

- Nie zauważyłam, że jest tak przystojny, dopóki nie zwróciłaś mi na to uwagi, Reb. Kogoś mi przypomina, tylko nie wiem, kogo.

- Pewnie. Supermana - podsunęła Rebeka.

- Masz rację - uznała Meggie, gdy dzwonek nad drzwiami obwieścił wejście profesora do kawiarni.

Rebeka od razu zaczęła przypatrywać mu się uważnie. Coraz gorzej ze mną, pomyślała, gdy Megan oddaliła się z tacą pełną filiżanek.

Raleigh wyraźnie zdziwił się, widząc Rebekę w kawiarni. Uśmiechnęła się lekko.

Raleigh rozejrzał się wokół i zbliżył do okna.

- Nie zmarzłaś ostatniej nocy? - spytał poważnym tonem.

- Czemu miałabym zmarznąć? Oboje wiemy, że było aż nadto gorąco - odrzekła tak cicho, by dotarło to jedynie do jego uszu. Spojrzał na nią w sposób, który wyraźnie świadczył, iż nie zamierza udawać, że nie wie, o czym ona mówi.

- Martwię się o ciebie, Rebeko.

- Dobry początek - zauważyła, rzucając mu zalotne spojrzenie.

- Chcę mieć pewność, iż zrozumiałaś, jak mają się układać nasze stosunki. Akceptujesz to?

Uśmiechnęła się zagadkowo, a kiedy miał zamiar odejść, rzuciła:

- Przestałam się śmiać, jeśli o to ci chodzi.

- Rebeko - szepnął zniecierpliwionym tonem i jeszcze bardziej zbliżył się do okna, przy którym siedziała.

Rozejrzał się znowu, a potem pochylił się nad nią.

- Myślałem, że wczoraj wyraziłem się dostatecznie jasno. Czy to nie wystarcza?

Rebeka chwyciła koniec jego krawata i zapytała:

- Jesteś pewien, że właśnie o to ci chodziło?

- Oczywiście.

Rebeka okręciła krawat wokół dłoni, a potem przyciągnęła Raleigha bliżej do siebie tak że o mało nie stracił równowagi i musiał oprzeć się ręką o jej udo.

- No cóż, odniosłam wrażenie, że ostatnio rozumiemy się... wspaniale - rzekła, przykrywając dłonią jego rękę i ścisnąjąc ją lekko.

W tym samym momencie poczuła przyjemny aromat kawy, dobrych męskich kosmetyków i wiatru, którym przesiąknięta była jego marynarka.

- Och, Raleigh - szepnęła, spoglądając w jego pełne zdziwienia oczy. Wyglądasz cudownie, robiąc taką minę.

- Masz zamiar sprawiać kłopoty, prawda? - spytał, usuwając rękę i wyswobadzając krawat z dłoni Rebeki.

- Jak zawsze - odrzekła porywczo.

Spojrzał na swoją dłoń przypadkiem wysmarowaną czerwoną farbą, której Rebeka używała do malowania świątecznej dekoracji, i westchnął zakłopotany. Zanim odszedł ku ladzie, wziął ze stolika teczkę oraz inne pakunki i mruknął pod nosem coś, co Rebeka ledwo dosłyszała.

- Zwracam obrus używany podczas mojego przyjęcia - powiedział do Megan. - Odebrałem go z pralni.

Rozmawiając z właścicielką kawiarni, spoglądał to na ciasto stojące na ladzie, to na Rebeke.

- Był pan zadowolony z obsługi? - spytała Megan, zer-

kając na przyjaciółkę, która nie spuszczała wzroku z nich obojga.

- Tak- Panna Barnett dobrze się spisała.

- Świetnie. Może jeszcze kiedyś skorzystam z jej usług - powiedziała Megan, podczas gdy profesor Hanlon sięgnął po serwetkę, by zetrzeć z ręki farbę. - Czy coś panu podać?

- Tylko kawę. Wypiję ją tam, gdy umyję ręce - rzekł, wskazując stolik w rogu kawiarni.

Kiedy zniknął w korytarzu, Rebeka szybko zebrała przybory do malowania i podeszła do barku.

- Pozwól, że go obsłużę - zwróciła się do Megan, wskazując na filiżankę kawy, przygotowaną przez przyjaciółkę.

Megan postawiła kawę na tacy, a gdy Raleigh wyszedł z toalety, szepnęła:

- Nie wiedziałam, że tak szybko cię znowu zatrudnię. Informuję, że on lubi czarną kawę z nierafinowanym cukrem. Wsypuje dwie torebki.

Kiedy Rebeka zaczęła kroić ciasto stojące na ladzie, Megan zauważyła:

- Nie zamawiał ciasta.

- Wiem, lecz przepada za nim - powiedziała Rebeka, wdychając aromat orzechowej polewy.

- Czytasz mu w myślach?

- Prawie. Gdy jestem w pobliżu, profesor Hanlon próbuje mnie przekonać, że nie poddaje się zmysłowym słabościom. Nie mogę mu na to pozwolić - wyjaśniła Rebeka i ułożyła ciasto na talerzyku, który ustawiła obok filiżanki z kawą na tacy.

Odeszła w głąb sali, pozostawiając Megan duszącą się od

śmiechu. Gdy zjawiła się przy stoliku, Raleigh włożył właśnie okulary i przeglądał notatnik.

- Oto twoja kawa - oznajmiła, stawiając filiżankę na stole. - A także ulubione ciasto i kilka dodatkowych serwetek, gdybyś ich potrzebował. Wiesz, jak niektórzy ludzie nieporządnie jedzą.

Raleigh spojrzął na nią w chwili, gdy dotykała kącika ust.

- Nie prosiłem o ciasto.

- Ale miałeś na nie ochotę. Wyczytałam to w twoich oczach.

- Jeśli liczysz na napiwek...

- Tak, i to duży.

- Nie drażnij profesora.

- Nareszcie - westchnęła, opadając na sąsiednie krzesło.

- Dowiedziałam się, że istnieje coś takiego jak poczucie humoru profesora Hanlona.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz tylko pokręcił głową i zajął się słodzeniem kawy.

Chyba powinienem być wdzięczny losowi, że nie wiedziałaś o tym dziesięć lat temu.

Rebeka oparła podbródek na złączonych dłoniach i uśmiechnęła się, gdy Raleigh w końcu na nią spojrzął.

- Dobre rzeczy spotykają tych, którzy cierpliwie czekają, profesorze - zauważyła.

Nabrała na palec odrobinę kremu, oblizała go, a potem dotknęła opuszką palca ust Raleigha i dorzuciła:

- Kiedyś sam mi to powiedziałeś.

Raleigh zdjął okulary i przez dłuższą chwilę przyglądał się Rebecce. Z wyrazu jego twarzy niczego nie dało się wyczytać. Jedno nie ulegało wątpliwości: poświęcał jej uwagę.

- Przepraszam, profesorze Hanlon - rozległ się czyjś uprzejmy głos, górujący nad szmerem rozmów toczonych przy sąsiednich stolikach.

- Dobry wieczór, panie Brannigan - rzekł Raleigh, zwracając się z zainteresowaniem do młodego człowieka.

- Dobry wieczór. Czy mógłbym z panem przez chwilę porozmawiać?

Rebeka spojrzała na przybysza i zawołała:

- Go słyszać, Richie?

- Cześć, Rebeko - odparł młodzieniec, nerwowo popatrując to na profesora, to na Reбекę. - Słyszałem, że wróciłaś do Fołlett River.

- Na jakiś czas - odpowiedziała i zwracając się do Raleigha, wyjaśniła: - Kiedyś opiekowałam się Richie'em, gdy był dzieckiem. Mieszkaliśmy po sąsiedzku.

- Jest moim studentem - rzekł profesor Hanlon. - Usiądź z nami, Richie.

Rebeka podniosła się, ustępując chłopcu miejsca.

- Muszę wracać do swoich zajęć - powiedziała. - Podać ci kawę albo coś do zjedzenia?

- Nie, dziękuję. Muszę pomówić z profesorem.

Przez następne dziesięć minut Rebeka nie spuszczała oczu z rozmawiających. Zaciekawilo ją napięcie, malujące się na twarzy chłopca i autentyczne zainteresowanie Raleigha. Chciała wiedzieć, o czym dyskutowali. W czasie rozmowy profesor Hanlon kilkakrotnie poklepał Richie'ego po ramieniu. Kiedy chłopak opuścił kawiarnię, Rebeka wzięła dzbanek z kawą i podeszła do stolika.

Wszystko w porządku z Richie'em? - zapytała. - Wyglądał, jakby miał problemy.

Podnosząc wzrok znad swego notatnika ze szkolnym rozkładem zajęć, Raleigh przez chwilę zastanawiał się, czy ma udzielić odpowiedzi na to pytanie. Rebeka postawiła dzbanek z kawą na stoliku i usiadła.

- Tylko mi nie mów, że to była poufna rozmowa między uczniem i nauczycielem. Zmieniałam Richie'emu pieluchy, więc mogę wiedzieć, o co chodzi.

Raleigh westchnął ciężko i rzucił ołówek na stół.

- Richie jest uczniem, którego życzyłby sobie każdy nauczyciel. Ma talent i przykłada się do pracy. Wierzę, że zasługuje na znacznie lepsze życie. Ojciec nie chce mu udzielić informacji finansowych potrzebnych do przyznania stypendium. Pragnie w ten sposób zmusić go do porzucenia college'u i zajęcia cię sklepem.

- To egoista i pijak. Zawsze był taki. A czego Richie chciał od ciebie?

- Prosił, bym poparł jego prośbę o stypendium na posiedzeniu komitetu, który o tym decyduje - odparł profesor, pocierając brodę i wpatrując się w swój terminarz. - Chciałbym mu pomóc, lecz zgodziłem się wygłosić dziś w szkole pogadankę o wyborze zawodu. Mogę nie zdążyć wrócić z zebrania komitetu stypendialnego - powiedział z troską w głosie.

- Czy zgodziłbyś się, gdyby ktoś wypełnił uczniom czas do chwili twojego przyjścia? - spytała. Mogłabym to zrobić, pomyślała.

Machnął ręką i sięgnął po widelczyk, by uszczknąć kawałek ciasta.

- Za mało czasu, żeby kogoś znaleźć - odparł, zbyt zajęty własnymi myślami, by się zorientować, dlaczego Rebeka wystąpiła z taką propozycją.

- W innej sytuacji przede wszystkim zająłbym się sprawą Richie'ego, ale tu chodzi o pogadankę, w której weźmie udział między innymi klasa mojej bratanicy. Specjalnie przyjadą z Daleville. Obiecałem Penny, że wystąpię na tym spotkaniu - powiedział, jedząc ciasto.

- Nie martwiłabym się tym tak bardzo - rzekła z uśmiechem Rebeka, widząc, z jaką rozkoszą Raleigh wdycha orzechowy aromat - Sprawy zawsze jakoś się układają, nawet gdy się tego nie spodziewamy.

- Rebeko, ja poważnie traktuję to zobowiązanie. Ostatnio Penny bardzo potrzebuje ojcowskiego autorytetu - oznajmił, odetchnął głęboko i spojrzał w stronę drzwi. - Jest córką mego brata, który zmarł, zanim się urodziła.

- Megan mówiła mi o tym. Bardzo ci współczuję. Byliście sobie bardzo bliscy?

- Tak - odparł, nie patrząc na Rebece, a potem podjął porzucony temat. - Penny potrzebuje mojego wsparcia. Podobnie jak Richie - dodał z westchnieniem.

- Naprawdę troszczysz się o przyszłość tych dwojga, prawda? - spytała poważnie.

- Mam taki stosunek do wszystkich uczniów - odrzekł, opierając łokcie na stoliku i pochylając się ku Rebecce. - Sądziś, że inaczej traktowałem ciebie, gdy byłem twoim nauczycielem?

- Prawdę mówiąc, nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Uważałam, że starasz mi się zatruć życie w ostatniej klasie.

Uśmiechnął się smutno i zapytał:

- Naprawdę tak to odbierałaś?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę nad odpowiedzią.

Być może nadszedł czas na szczerość.

- Tak - przyznała, pochylając się ku Raleighowi. - Nie mogłam pojąć, czemu nieustannie mnie nękałeś. To było tak, jakbyś czuł do mnie osobistą urazę i mścił się na mnie. Wiem, że sprawiałam kłopoty, ale nigdy nie byłam, jeśli mogę tak powiedzieć, uboga duchem.

- Masz rację - zgodził się - Wiele rzeczy mógłbym o tobie powiedzieć, ale na pewno nie to, że byłaś uboga duchem.

- Miło mi to słyszeć - odrzekła z ulgą i roześmiała się radośnie. - Nareszcie czuję się usprawiedliwiona.

- Naprawdę uważałaś mnie za takiego potwora?

- No cóż, z pewnością potrzebowałam duchowego przewodnictwa i dyscypliny - przyznała, biorąc do ust orzeszek z jego ciasta i oblizując palce. - Ale równie mocno pragnęłam, by obdarzono mnie zaufaniem, a czasem doceniono. W tym zakresie niewiele zrobiłeś.

- Nie miałem pojęcia, że tak to odczuwałaś. Rozumiem, iż zbyt często cię pouczałem, natomiast nigdy nie przyznałem, że jesteś bardzo inteligentna, choć naprawdę tak myślałem.

- Jakoś to przeżyłam - odrzekła, zastanawiając się, czy Raleigh zdaje sobie sprawę, jak dużo znaczą dla niej jego słowa.

Zwłaszcza teraz.

- Chcę po prostu powiedzieć, że dzieci muszą mieć okazję do popełniania błędów, na których mogłyby się uczyć - dodała.

- Uważasz, że przez Bezlitosnego Hanlona nie mogłaś popełnić ich wystarczająco dużo? - spytał, uśmiechając się ciepło.

- Nie było tak źle - zaśmiała się. Wstała i zabrała ze stołu dzbanek z kawą. - Nie zawsze byłeś w pobliżu, by mnie przyłapać na gorącym uczynku - dorzuciła.

Idąc w stronę barku pomyślała, że nigdy w życiu nie słyszała niczego tak miłego jak głośny śmiech Raleigha.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Raleigh podwinął rękaw płaszcza, spojrzął na zegarek i zaklął cicho. Był już dwadzieścia minut spóźniony na pogadankę o wyborze zawodu. Dopiero teraz wchodził w drzwi swojej dawnej klasy w liceum Follett River.

Z większości pomieszczeń dobiegały głosy wykładowców, w niektórych słychać było odgłosy dyskusji, w innych - zwykłe rozmowy. Cały korytarz wypełniony był gwarem. Profesor Hanlon wyobrażał sobie, co dzieje się za drzwiami klasy, przed którą się zatrzymał, w pokoju pełnym znudzonych nastolatków, między którymi siedzi jego zawiedziona bratanica.

W nie najlepszym nastroju nacisnął klamkę. Cóż mu pozostało, jak tylko zapewnić Penny, że nie zapomniał o spotkaniu. Dziewczyną i tak pewnie tego nie doceni.

Cofnął się o krok. Do licha, co się z nim dzieje? Czego się obawia? To nie jego wina, że dyskusja nad stypendium Richie'ego Brannigana tak bardzo się przeciągnęła. Komitet stypendialny skłonny był nieść pomoc studentom, którzy tego potrzebowali, ale musiał dokładnie zapoznać się z ich sytuacją materialną.

Westchnął i potrząsnął głową.

- Daj sobie spokój, Hanlon - mruknął i wszedł do sały.

Od razu natknął się na Charliego Ręislinga, partnera od środowiej koszykówki, który szepnął:

- Mamy niespodziankę.

Tymczasem któryś z uczniów zadał pytanie na temat Afyki wschodniej.

- Niespodziankę? - powtórzył Raleigh, zadowolony, że nie musi zaczynać spotkania od usprawiedliwiania swego spóźnienia.

- Jako gracz może nie jesteś najlepszy, Hanlon, lecz umiesz wynajdywać świetnych zastępców. Podbiła ich.

Naprawdę? - spytał, starając się nie okazywać zaskoczenia.

- Kiedy dzwoniłeś, uprzedzając o spóźnieniu, nie wspomniałeś, że przyślesz ją w zastępstwie. Zjawiła się na kwadrans przed uczniami. Świetnie przygotowana - powiedziała Charlie; popychając Raleigha do przodu. - Popatrz tylko - ciągnął. - Kto by pomyślał, że panna Barnett tak się zmieni?

Profesor Hanlon zamknął oczy. Jeśli to kolejny dowcip Rebeki, wyrzuci ją z mieszkania tak szybko, jak to możliwe. Uniósł powieki i spojrzał w głąb klasy, cały czas słuchając Charliego, który, opowiadał cicho, jak to w pierwszej chwili nie poznał ich dawnej uczennicy. Raleigh skinął głową i zdjął płaszcz. Nie zamierzał wtajemniczać kolegi w okoliczności spotkania po latach z tą dziewczyną.

Rebeka stała przy tablicy i wyliczała właśnie nazwy osad, które zwiedziła na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Nawet gdyby jego życie miało od tego zależeć, Raleigh nie byłby w stanie powtórzyć żadnego z tych wielosylabowych słów, których używała. Omijając wzrokiem plakaty biura podróży, afrykań-

skie maski i totemy, które przyniosła na pokaz, skupił uwagę na dziewczynie.

Miała na sobie czerwony żakiecik i krótką, czarną spódniczkę. Z zachwytem popatrzył na długie, opięte czarnymi pończochami nogi w eleganckich pantoflach. W tym momencie Rebeka odwróciła się i spostrzegła go w dumie słuchaczy. Uśmiechnęła się, a Raleigha przeniknęło przyjemne ciepło. Czy to możliwe, by kiedykolwiek czuł się inaczej, widząc jej uśmiech?

- Przyszedł już profesor Raleigh Hanlon z college'u, więc kończę, by oddać mu głos - powiedziała Rebeka, odkładając kawałek kredy na półkę przy tablicy.

I co ty na to? - spytał Charlie.

Raleigh poczuł, że kilka tuzinów młodych oczu wpatruje się w niego pytająco. Oparł się o ścianę i rzekł:

- Nie będziemy ryzykowali niezadowolenia słuchaczy. Proszę kontynuować, panno Barnett.

Przez klasę przetoczył się szmer aprobaty. Z wprawą włąściwą każdej kobiecie interesu Rebeka wróciła do zajmującego wykładu! Przez następne dziesięć minut Raleigh słuchał i patrzył z takim samym zainteresowaniem jak wszyscy obecni na sali. Poczucie humoru Rebeki, duże doświadczenie zawodowe i naturalność, z jaką się zachowywała, napełniały go dziwną dumą. Wiedział, że nie ma nic wspólnego z osiągnięciami dziewczyny, lecz miał głębokie przeświadczenie, iż przyczynił się w jakiś sposób do jej dzisiejszego triumfu. Zanim zdołał pojąć, na czym miałyby to polegać, usłyszał głos bratanicy.

- Jaką specjalizację wybrała pani w college'u?

Rebeka wzięła głęboki oddech i zerknęła na Raleigha. Po

raz pierwszy od chwili, gdy się tu zjawił, poczuła się niepewnie. Profesor spojrział na nią z zaciekawieniem; prawdopodobnie źle zrozumiał moment jej wahania. Kiedy zaczęła odpowiadać na pytanie, w jej głosie nie było cienia niepewności.

- Skoro zachęcam was do podjęcia dalszej edukacji, musicie być z wami szczerzy - powiedziała. - Nie poszłam do college'u. Na szczęście dobrze wiedziałam, co chcę robić w życiu, jeszcze zanim skończyłam liceum. Potem na Florydzie skończyłam kilka kursów dokształcających - dodała, przysiadając na blacie biurka. - Coś wam powiem. Nieważne, jaką szkołę ukończycie, żeby przygotować się dobrze do dorosłego życia. Przede wszystkim musicie uwierzyć w siebie. Tylko od was zależy, czy odniesiecie sukces.

Kiedy Raleigh zdołał wreszcie oderwać wzrok od Rebeki, spojrział na Penny. Bratanica chłonęła z uwagą każde słowo panny Barnett. Po raz pierwszy od miesiący wykazywała zainteresowanie czymkolwiek innym niż muzyka młodzieżowa. A skoro zadała pytanie na temat college'u, być może pozwoli mu, by płacił za nią chesne. Penny była jedynym dzieckiem jego brata, więc wszystkie uczucia, które kiedyś do niego żywił, przelał na tę dziewczynkę. Jeszcze raz czucił okiem na Rebece, a potem spojrział na zegarek.

- Mogę odpowiedzieć na jeszcze jakieś pytanie - usłyszał. Zanim którykolwiek z uczniów zdążył je zadać, sam zabrał głos.

- Ja mam jedno.

Rebeka zdziwiła się trochę, lecz natychmiast uśmiechnęła się zachęcająco.

- Proszę bardzo,, słucham.

- Zechce nam pani powiedzieć, panno Barnett - zaczął, wsunąwszy ręce do kieszeni - czy jakieś szkolne zajęcia na-
tchnęły panią, by zająć się profesjonalnie turystyką?

- Pańskie lekcje - odparła dziewczyna.

Zdziwiony wyciągnął rękę z kieszeni i wskazując kciukiem samego siebie, powtórzył:

- Moje lekcje?

- Wujka Raleigha? - pisnęła Penny, odwracając ku niemu głowę.

- Tak. Profesor Hanlon uczył mnie historii w tutejszym liceum i choć nie byłam jego najlepszą uczennicą, mogę powiedzieć, że właśnie on obudził we mnie zainteresowanie odległymi miejscami.

- Nigdy mi o tym nie wspomniałaś - odezwał się Raleigh, zapominając, że obserwuje ich cała klasa.

Rebeka gniotła w palcach kawałek kredy, a uczniowie wędrowali spojrzzeniami od niej do profesora Hanlona i z powrotem.

- Rozmawialiśmy... o czym innym - odparła w końcu.

- Świetnie - wtrącił się Charlie, podchodząc do prelegentki. - Zdumiewające, ilu rzeczy można się dowiedzieć w czasie jednej pogadanki. Niestety, pora już kończyć. Chciałbym w imieniu wszystkich podziękować pannie Barnett za interesujące spotkanie oraz informacje na temat pracy w przemyśle turystycznym - powiedział i przyłączył się do oklasków, które wypełniły salę.

Kiedy uczniowie zaczęli wychodzić z klasy, Raleigh zdążył zerknąć na Rebeke, zanim podeszła do niego bratanica.

- Wujku, panna Barnett opowiadała zupełnie niesamowite historie. Nie wiedziałam, że była twoją uczennicą.

Raleigh zauważył w jej oczach podziw dla osiągnięć Rebeeki i postanowił to wykorzystać do własnych celów.

- Może mógłbym was obie skontaktować ze sobą, byście jeszcze porozmawiały. Chciałabyś? Panna Barnett na czas pobytu w mieście zatrzymała się w tym mieszkanku nad garażem.

- Och, to byłoby... jak ty to kiedyś mówiłaś? - Zastanowiła się, patrząc mu w oczy. - Bycze?

- Nie każ mi się do tego przyznawać, młoda damo - powiedział, ledwo powstrzymując się od śmiechu. - Idź już. Koledzy czekają. Nie zapomnij pozdrowić ode mnie mamy.

Dziewczynka pocałowała go szybko w policzek i odeszła.

- Te dzieciaki słyhać na całym placu - zauważył Charlie, zbliżając się do Raleigha i wskazując uczniów gwarnie opuszczających szkołę. - Może odprowadziłbyś Rebekę do samochodu - zaproponował.

- Oczywiście - zgodził się profesor Hanlon, starając się, by wypadło to naturalnie.

Charlie wyszedł z klasy, pozostawiając Raleigha z Rebeką. Profesor spojrział na nią. Po dzisiejszej prelekcji wydała mu się miłą, elegancką kobietą, która odniosła zawodowy sukces. Jak mógł ją kiedykolwiek porównywać z Penny? Zestawiając niedojrzałe zachowania bratanicy z młodzieńczą energią, poczuciem humoru i wewnętrznym zorganizowaniem, jakie w jej wieku przejawiała Rebeka, zrozumiał, że kiedyś błędnie oceniał swoją uczennicę.

Dziewczyna składała właśnie plakaty, które przyniosła na spotkanie. Widząc zbliżającego się Raleigha, uśmiechnęła się, demonstrując doba w policzkach.

- Nie wiedziałem, co myśleć, gdy wszedłem i zobaczyłem

cię tutaj stwierdził. - Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać,

- Mam to rozumieć jako podziękowanie? - spytała.

- Tak i to ogromne - powiedział, pomagając jej zwinąć plakaty. - Zawsze podróżujesz z kolekcją afrykańskich masek?

- To świąteczne prezenty dla rodziny. Potem je ładnie zapakuję.

- Wywarłaś wielkie wrażenie na mojej bratanicy. Na wszystkich innych również - zauważył.

- Na tobie też?

- Oczywiście - przyznał z uśmiechem. - A co miała znaczyć ta uwaga o tym, że moje lekcje zainspirowały? - zaczął, lecz nie skończył pytania, bo nagle pękła gumka, którą próbował nałożyć na rulon z plakatami, i wystrzeliła aż pod tablicę.

- Przy następnej pogadance muszę wziąć pod uwagę, że potrafisz strzelać z procy - roześmiała się.

- Skoro już mówimy o szkolnych wyczynach - zaczął, wtórując jej śmiechem - to kiedy stałem i słuchałem prelekcji, pomyślałem o jednym z twoich niezapomnianych występów,

- Którym? - spytała.

- O udawaniu Wenus z Milo. Wyszedłem wtedy na moment z klasy, a gdy wróciłem, stałaś na krześle ze skórzaną kurtką owiniętą wokół bioder i rękami do tyłu - odparł, pomagając Rebecce wsunąć plakaty do tekturowego etui.

-- Tak, teraz sobie przypominam - przyznała, odgarniając włosy z czoła. - Zapytałaś, co robię, a ja odpowiedziałam, że przywracam życie umarłym formom sztuki.

- Właśnie - odrzekł, obserwując kasztanowe błyski we włosach dziewczyny.

Jej wymyślna fryzura, celowo sprawiająca wrażenie artystycznego nieładu, w niczym nie przypominała farbowanych na blond włosów, jakie nosiła dziesięć lat temu.

- Raleigh?

- Przepraszam, co mówiłaś? - spytał, wracając do rzeczy - wistości.

- Czy byłam wtedy kompletnie ubrana?

Przez sekundę starał się przypomnieć sobie, jak to było. Czyżby oboje nie pamiętali... ? Po chwili zorientował się, że znowu go nabrała. Zaczerpnął tchu i grożąc jej palcem zawołał:

- Panno Barnett!

- Tak, panie Hanlon? - Rebeka zagryzła wargi, by nie wybuchnąć śmiechem.

Na widok jej żywiołowej radości zrobiło mu się ciepło na sercu. Ta dziewczyna działała na niego jak eliksir młodości. Przywracała mu chęć do życia. Odetchnął głęboko, starając się zapanować nad sobą.

- Dobrze, zrozumiałem. Z każdą minutą jest ze mną lepiej, prawda? - rzekł.

- Chciałam cię trochę podrażnić - powiedziała, udając, że chce wymierzyć mu cios w podbródek.

Raleigh chwycił jej dłonie, zanim zdążyła je opuścić. Poczował zapach kredy zmieszany z delikatną wonią perfum.

- Uważaj - rzekł łagodnie. - Jestem podatny na siniaki.

- Wezmę to pod uwagę - obiecała, gdy zwolnił uchwyt.

- Czy Richie Brannigan bardzo się wzruszył, gdy załatwiłeś mu stypendium? - zapytała.

- Mało się nie rozpłakał - odparł. - Ale skąd o tym wiesz?
- zdziwił się. - Przecież dopiero co wyszedłem z posiedzenia komitetu.

- Och, nie wątpiłam, że ci się uda. - Zaczęła pakować afrykańskie maski i wkładać je do pudełka. - Widzisz, różni-
my się tym, że ja wiem, czego się po tobie spodziewać.

- Tak łatwo przewidzieć, co zrobisz?

- Nie musisz czuć się dotknięty. Chciałam tylko powie-
dzieć, że jeśli coś obiecasz, na pewno dotrzymasz słowa.
Jesteś zadowolony?

- Pospieszmy się - ponaglił, gdy w klasie zamrugały
światła. - To znak, że za pięć minut zamykają budynek. Nie
możemy tu siedzieć przez całą noc.

Rebeka rozejrzała się dokoła.

- Jeśli wziąć pod uwagę pewne doświadczenia, nie byłoby
tak źle - uznała ze złośliwym uśmiechem.

- Czy muszę tego słuchać? - spytał, sięgając po resztę
rzeczy dziewczyny.

- Przecież bardzo chcesz - odrzekła" włożyła płaszcz i za-
mknęła ostatnie pudełko.

Wyprowadzając Rebeke z klasy, Raleigh udawał, że nic
sobie nie robi z jej słów, choć nie było to zgodne z prawdą.
Z przyjemnością wspominał ich wspólną przeszłość. Wzru-
szało go, że przez ostatnie dziesięć lat ta dziewczyna tak
świetnie sobie radziła. Gdy dotarli do drzwi wyjściowych,
zatrzymał się na moment.

- Naprawdę inspirowały cię moje lekcje? - zapytał.

- Musisz pytać? Oczywiście, że tak.

- Masz rację. Nie mogę się doczekać, żeby dowiedzieć się
czegoś na ten temat - przyznał i puścił Rebeke przodem.

Odprowadziła ją do samochodu, słuchając po drodze opowieści o zabawnym wyczynie Rebeki i jej szkolnych przyjaciół.

- Widzisz więc - kończyła, otwierając samochód - to było takie małe przyjęcie, o którym nikt się nie dowiedział, bo dokładnie zatarliśmy ślady. - Włożyła pudełka do bagażnika. - Musieliśmy się jakoś odprężyć zaraz po zakończeniu semestru. Nawet Jade Macleod była z nami w szkole tamtej nocy.

- Jade? - powtórzył, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądała jego najlepsza uczennica, przewodnicząca samorządu, która zwykle wygłaszała klasowe przemówienia.

- Jade - potwierdziła Rebeka. - Przez cały czas bała się, że ktoś nas przyłapie, a to zepsuje jej dobrą opinię. - Zamilkła i spojrzała w rozgwieżdżone niebo. - Zapewniłam ją, że przyda jej się takie doświadczenie, pierwsze zetknięcie się z niebezpieczeństwem. Jeśli przetrwa tę noc, nic już nie będzie jej straszne. - Sięgnęła do samochodu po śniegowce.

- Co ci odpowiedziała Jade? - spytał Raleigh, nie chcąc przerywać tej rozmowy, by móc jak najdłużej przebywać w towarzystwie Rebeki.

- Pomóż mi, dobrze? - poprosiła, opierając Raleighowi rękę na ramieniu, gdy zdejmowała pantofelek, by wrzucić go do bagażnika. - Uznała, że to największy ciężar, jaki kiedykolwiek zrzuciłam na jej barki, ale potem wypić dwa kieliszki wina i tańczyła razem ze mną i Megan na biurku. Przestań się śmiać, bo oboje upadniemy - zawołała Rebeka, uderzając Raleigha po ramieniu.

Wreszcie, oparta przez cały czas o niego, jakoś włożyła śniegowce. Gdy sięgnęła do bagażnika, by go zamknąć, powstrzymała ją ruchem ręki.

Ja to zrobię powiedział, pragnąc jakoś wyładować energię którą go napełniła bliskość Rebeki.

Upewniwszy się, że wszystko zostało bezpiecznie ułożone zapytał

-Wiedziałaś, że masz tu walizkę?

-Tak. Dziś wieczorem muszę pojechać do Nowego Jorku. Nie rozgłaszaj tego, ale mam umówione spotkania z przedstawicielami spółki zainteresowanej przebudową tego starego magazynu, a poza tym powinnam- zrobić świąteczne zakupy.

Raleigh bardzo się przejął tą wiadomością. A więc miała zamiar wyjechać. Jak długo. nie będzie jej widział? myślał, zamykając bagażnik.

Kiedy wrócisz? - spytał i odwrócił się od Rebeki by nie spostrzegła że przeżywa jej wyjazd.

- W sobotę po. południu. Będiesz za mną tęsknić?

Aż za bardzo, pomyślał. Nawet boję się do tego przyznać. Sam nie rozumiem, jak, do tego doszło. Spojrzał na Rebeke i z lekkim westchnieniem wsunął ręce do kieszeni.

- Powiedzmy, że przyzwyczałem się mieć cię na oku.

Brzmi to tak jakbym stwarzała potencjalnie niebezpieczną sytuację - zauważyła z uśmiechem.

Poszli ulicą ku miejskiemu rynkowi. Hanlon nie zdążył zareagować na to, co powiedziała, bp. zbliżyli się właśnie do przystrojonego kolorowymi ozdobami, wysokiego świerka. Rebecce udzielił się świąteczny nastrój.

- Wystarczy jedno udekorowane drzewko, a całe miasto nabiera niezwykłego uroku - zauważyła i zwolniła kroku, a potem zatrzymała się, by przepuścić hałaśliwą gromadkę nastolatków. Dotknęła świerka i rzekła:

- Niezależnie od tego, gdzie jestem, w Boże Narodzenie wracam myślami do Follett River. Wzruszam się, gdy słyszę kolędy. Chyba jestem bardzo staroświecka.

Profesor Hanlpn także uległ świątecznemu nastrojowi.

- Chyba skorzystam z twojej rady i w przyszłą sobotę ubiorę choinkę - rzekł. - Może chciałabyś mi pomóc?

- Zapraszasz mnie na randkę? - zapytała, drżąc z emocji.

Cokolwiek jej odpowie, nie będzie już odwrotu. Raleigh pojął, że staje twarzą w twarz z nieuniknionym. Oczywiście mógł dodać, że zaprosi również Penny, by obie dziewczyny mogły sobie porozmawiać. Tak byłoby najbezpieczniej. Spojrzał na Rebekę i postanowił grać w otwarte karty. Niebieskie oczy tej dziewczyny wpatrywały się weń z taką niecierpliwością.

- Tak, zapraszam cię na randkę - przyznał, a w tym samym momencie rozbłysły na choince nowe światła i rozległa się melodia „Jingle Bells”.

- To dla nas te specjalne efekty - zażartowała Rebeka, gdy oboje spojrzeli ku drzewku, a potem roześmieli się serdecznie.

- Skoro podjąłeś tak trudną decyzję, jakże mogłabym ci odmówić - dodała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rebeka zdenerwowała się, gdy w Nowym Jorku zaczął padać gęsty śnieg. Liczyła minuty do spotkania z Raleighem i wcale nie pragnęła, by zadymka zniweczyła jej plany. Już sobie wyobrażała zasypane śniegiem tory na szlaku prowadzącym do Follett River. Odetchnęła głęboko i ścisnęła mocniej uchwyt torby podróźnej. Nie chodzi to, że wierzyła w złe znaki, lecz była przekonana, że im wcześniej znajdzie się na dworcu, tym szybciej się uspokoi.

Zawieja stawała się coraz większa i już nie widać było choinek po drugiej stronie ulicy. Wokół unosiły się na wietrze wielkie płatki śniegu, które błyskawicznie pokrywały głowy ludzi spieszących po zakupy. Z przepaszającym uśmiechem na twarzy Rebeka przepychała się przez tłum. Dzięki Bogu sama wczoraj zdążyła się uporać z kupieniem prezentów. W zasięgu wzroku nie było żadnej taksówki.

Po piętnastu denerwujących minutach oczekiwania odpcnęła rękę zirytowanego biznesmena, który zamierzał wsiaść do zatrzymanego przez nią auta.

- Proszę nawet o tym nie myśleć. Jestem z Jersey - ostrzegła, zajmując miejsce w samochodzie i zatraskując drzwi.

Niestety, w ciągu kolejnych dziesięciu minut daleko nie ujechała, gdyż taksówka utknęła w korku. Rebeka spojrzała na zegarek i popukała w szkiełko. Przecież muszę zdążyć na

ten pociąg, pomyślała. Wierciła, się na siedzeniu, oddychała gwałtownie i pocierała czoło. Właściwie dlaczego się tak denerwuję, zadała sobie w końcu pytanie. Przecież Raleigh nie odwoła randki, nawet jeśli przyjadę późniejszym pociągiem. A może jednak się rozmyśli?

Sięgnęła do portmonetki, by przygotować pieniądze, i rzuciła je na przednie siedzenie.

- Proszę wybaczyć — rzekła do kierowcy. - Chyba na osiołku szybciej dotarłabym na dworzec niż tą taksówką.

- Nie mogę łamać przepisów - odezwał się szofer. - Naprawdę pani tego chce?

- Dziś mam randkę, na którą czekałam przez całe życie, i nawet gdybym miała jechać do Jersey autostopem na pługu śnieżnym, zrobię to - zapewniła, kiedy wreszcie mogła chwycić torbę oraz paczki z prezentami i wydostać się z auta na ulicę. Wbiegła na zatłoczony dworzec, by spędzić tam następane trzydzieści siedem minut w oczekiwaniu na spóźniony pociąg.

- Uspokój się - rzekła sama do siebie, zajmując miejsce w wagonie. - Nie ma co się denerwować i wierzyć w złe znaki. Raleigh na pewno będzie czekał na dworcu w Follett River, tak jak to było umówione.

Lecz gdy pociąg pędził przez zaśnieżone tereny New Jersey, nękały ją kolejne wątpliwości. Nic nie mogło zmienić faktu, że różnili się wiekiem oraz wykształceniem, że wywodzili się z różnych środowisk i że Raleigh przywiązywał do tego znaczenie. Co będzie, jeżeli zmienił zdanie i znowu zaczął o niej myśleć jak o zwariowanej nastolatce? Kiedy pociąg zatrzymał się w Follett River, przetarła dłonią zaporowane okno wagonu.

Nigdy w życiu nie traciła czasu na zajmowanie się jałowy-
mi spekulacjami, więc teraz też nie warto było tego zaczynać.
Jeśli Raleigh obiecał, że będzie czekał, trzeba w to wierzyć.

Przycisnęła policzek do zimnej szyby i zaczęła szukać na
peronie znajomej sylwetki. Kiedy nikogo nie spostrzegła, od-
wróciła głowę w drugą stronę i jeszcze raz przebiegła wzro-
kiem przez tłum ludzi kręcących się po dworcu. Mógł się
spóźnić. Pewnie wypadło mu coś nagłego. Za chwilę się
pojawi.

- To Follett River, pani nie wysiada? - zagadnął kon-
duktor.

Jeszcze raz spojrzała w okno. No, zjaw się, Raleigh. Chcę
zobaczyć choćby twój cień, pomyślała.

- Panienko? - ponaglił konduktor.

- Wysiadam - odparła i chwyciwszy torby, ruszyła ku
przedniemu wyjściu.

Na stopniach wagonu zimny powiew wiatru zatamował jej
dech, wtrącając Rebekę w jeszcze głębszą depresję. Z wes-
tchnieniem zrobiła pierwszy krok. Nie było go, musiał zmie-
nić zdanie.

- Rebeko!

Gdy ujrzała Raleigha który zbliżał się z przeciwnej strony
mogłaby przysiąc, że słyszy bicie werbli. Szedł długimi kro-
kami, po których zawsze można go było rozpoznać. Watr
rozwiewał mu płaszcz i włosy. Rebeka westchnęła z ulgą.
Opuściły ją wszystkie niepokoje i wątpliwości.

- Masz zdziwioną minę - zauważył Raleigh i wyjął jej
z rąk bagaże, - Sądziłaś, że nie przyjdę?

Pomógł Rebecie zejść na peron i lekko uściśnął jej dłoń.

- Raleighu Hanlonie, ani na chwilę nie straciłam wiary

w ciebie - odparła pewnym głosem, choć serce waliło jej jak młotem.

Na wpół świadomie oczekiwała powitalnego pocałunku, lecz gdy rozejrzała się po peronie pełnym ludzi, wśród których znajdowali się i studenci, straciła nadzieję. W porządku, na razie powinna mi wystarczyć jego obecność i uśmiech. Przed nami cały wieczór, pomyślała.

Kiedy szli na parking, wypytywały ją o spotkania z przedstawicielami spółki, pogodę w Nowym Jorku i przebieg podróży. Rebeka uznała, że o istotnych sprawach pomówią później, gdy będą sami.

- Zarezerwowałem dla nas stolik w „Boccacciu” - powiedział Raleigh, kiedy dotarli do samochodu. Wyjął z kieszeni kluczyki i otworzył bagażnik, by umieścić w nim rzeczy Rebeki. - Jesteś głodna?

- Tak.

- To świetnie.

Otworzył drzwiczki po stronie pasażera i poczekał, aż Rebeka zajmie miejsce.

- Na dziś wieczór przygotowali coś z dziczyzny.

- Już mi ślinka cieknie - odpowiedziała, marząc o chwilach, które spędzą razem po kolacji.

Rebeka przestała się zastanawiać, czy profesor Hanlon również o myśli o tym samym, gdy zobaczyła, jak się uśmiechał. Czuła się tak wspaniale, że skrzyżowała ręce na piersi, by nie objąć nimi Raleigha i nie przytulić się do niego jak zwariowana nastolatka.

- Słyszałam, że kelnerzy z „Boccaccia” śpiewają arie operowe, gdy obsługują gości - zagaiła.

Raleigh zarezerwował stolik w najlepszej restauracji Fol-

lett River, musiała więc przynajmniej udawać, że jest zainteresowana kolacją w takim lokalu.

- Czy to prawda? Śpiewają coś? - zapytała.

Raleigh pochylił się, wsunął palce we włosy Rebeki i przyciągnął ją ku sobie, by ją pocałować.

- Przekonamy się - rzekł, przesuwając kciukiem po jej wargach.

-Oczywiście-- szepnęła i lekko przygryzła opuszek palca Raleigha.

- Tęskniłem za tobą - powiedział.

- Ja za tobą również - odparła, oddając pocałunek.

- Powinniśmy jechać - powiedział Raleigh po chwili. Lekko odsunął Reбекę od siebie i położył dłonie na kierownicy.

- Masz rację - powiedziała, choć miała ochotę na coś zupełnie innego.

Czuła na ustach smak pocałunków Raleigha. Pragnęła go. Teraz. Tak bardzo, że aż przymknęła oczy. Pierwszy raz w życiu gotowa była kochać się z mężczyzną na siedzeniu samochodu. .

Odechnęła głęboko i poprawiła płaszcz. Co za szalone myśli przychodzą jej do głowy? Tylko zwariowane nastolatki mogą się tak zachowywać. Rebeka przycisnęła ręce do piersi i roześmiała się.

- Co cię rozśmieszyło? - zapytał Raleigh, wyraźnie gotów dzielić z nią radość.

- To, że tak bardzo jestem głodna.

Popatrzył na nią, uśmiechnął się lekko i włączył silnik.

- Głodna? Z pewnością nie bardziej niż ja - odrzekł.

Kiedy dziczyzna została zjedzona, a arie odśpiewane, Raleigh gotów był zabrać Reбекę do domu. Oboje byli już

zmęczeni uprzejmą rozmową o zajęciach w college'u, przygotowaniach do zjazdu koleżeńskieg0 rocznika Rebeki i wielu innych obojętnych sprawach. Pozostał tylko jeden temat - wzajemne požądanie. Przez ostatnie czterdzieści pięć minut wymieniali znaczące spojrzenia. Teraz nadszedł czas długo wyczekiwanego sam na sam. Kiedy Raleigh poprosił o rachunek, kelner położył przed nim kartę deserów. Niezdecydowany, spojrzał na listę ciast oraz lodów. Nadarzała się świetna okazja, by zadbać o zęby i odmówić sobie słodczy. Zabebnił palcami o stół. Oczywiście, Rebeka może coś wybrać, pomyślał. Spojrzał na nią i serce zabiło mu mocniej. Zerkała właśnie na zegarek.

- Może pojedziemy do domu, żeby ubrać choinkę - zaproponował, wyciągając ku niej rękę.

- Choinkę? Oczywiście. Trzeba ją ubrać - zgodziła się i podała mu dłoń.

-Rozejrzeli się za kalnerem.

- Prosimy o rachunek - powiedzieli równocześnie.

Pół godziny później, po wysłuchaniu arii z „Cyganerii Rebeka zdejmowała płaszcz w domu Raleigha. On rzucił swój na podłogę. Zanim zdążyła zrobić to samo, Raleigh przycisnął ją do drzwi i pocałował. Objęła go mocno i wyszeptwała jednym tchem:

- Raleigh, umarłabym tam, gdybym musiała siedzieć i pałtrzeć, jak zjadasz deser.

- Rebeko Barnett - powiedział z uśmiechem, głaszcząc jej policzek - przez cały czas mam ochotę na deser. Pomyślałem tylko, że lepiej będzie, jeśli przywiozę go do domu.

Zrobiłeś to? - spytała, zanim zrozumiała, że mówi o niej.

- To najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Dziesięć lat temu nie wyobrażałem sobie czegoś podobnego.

- Tak się cieszę, że to powiedziałaś — rzekła uradowana Rebeka. - Sama czuję się podobnie.

Przytuliła się do ukochanego.

- Raleigh - szepnęła, rozchylając usta w oczekiwaniu pocałunków, gdy nagle ktoś zadzwonił do drzwi.

Zamarli na chwilę, przygwożdżeni do ziemi nieoczekiwanym dźwiękiem. Raleigh przyłożył palec do ust, nakazując Rebecę milczenie.

- Może odejda - szepnął, lecz pukanie rozległo się znowu.

- Wujku? Jesteś tam?

Profesor Hanlon odsunął się od Rebeki i wzruszył ramionami. Odechnął głęboko, poprawił koszulę i podniósł z podłogi płaszcze, by powiesić je na wieszaku. Powiedział sobie, że skoro tak długo czekał na Rebece, może jeszcze wytrzyma parę minut.

- Penny? To ty? - zawołał, gdy znowu odezwał się dzwonek.

- Jezu! Pewnie, że ja. De osób mówi do ciebie: „wujku”?

- Tylko sami szczęśliwcy - zażartował i rzucił okiem na Rebece, sprawdzając, czy zdążyła doprowadzić się do ładu.

Wreszcie otworzył drzwi i wpuścił bratanicę.

- Co tu robisz o tej porze? - zapytał.

- Przyjechałyśmy z Jennifer. Ona chciała odwiedzić swojego chłopaka - wyjaśniła Penny. - Celia mówi.

- To twoja mama.

- Tak, to moja mama. Zostawiłam ci wiadomość na automatycznej sekretarce. Nie odebrałeś? O! Panna Barnett.

W każdym razie umówiłam się z Jennifer, że mnie stąd zabierze, gdy będzie przejeżdżała. Nie masz nic przeciwko temu? Nie jesteś zajęty, wujku? - spytała, zdejmując płaszcz.

- Zajęty? Hmm...

- Prawdę mówiąc, przyszedłeś we właściwym momencie - odezwała się Rebeka, biorąc od dziewczyny okrycie i szalik. - Obiecałam twojemu wujkowi, że pomogę mu ubierać choinkę i właśnie mieliśmy zaczynać.

- Żartujesz? - rzekła z niedowierzaniem Penny. - Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek ubierał tu choinkę, odkąd rozwiodłeś się z Karen - zwróciła się do Raleigha.

- Czasy się zmieniły - zauważył profesor Hanlon i objął bratanicę ramieniem, a Rebecę posłał spojrzenie, które miało znaczyć: „później, obiecuję”. - Chodźcie - rzekł. - Załóżmy już lampki.

- Świetnie się składa - ucieszyła się Penny. - Będę mogła zadać ci więcej pytań na temat pracy - powiedziała do Rebeki.

Ubierając drzewko i słuchając o przygodach Rebeki, Raleigh niemal przestał myśleć o kochaniu się z nią. Uświadomił to sobie, gdy wracał do biblioteki, niosąc talerz z precelkami i napoje. Zatrzymał się, by popatrzeć, jak ostrożnie Rebeka wieszka na choince ozdoby. Delikatne ruchy jej palców przypominały pieszczotę. Penny zachwycała się głośno opowieściami Rebeki, a tymczasem jej wuj przeniósł wzrok z dłoni na oczy panny Barnett. Odwzajemniła się takim spojrzeniem, iż nabrał pewności, że potrafi czytać w jej myślach.

- Wątpisz w to, co przed chwilą opowiedziałam? - spytała z niewinnym uśmiechem.

- Ależ skąd. Już nigdy nie będę wątpił w nic, co powiesz. Trudno mi jedynie uwierzyć, że to ja obudziłem w tobie zainteresowanie odległymi miejscami. Najważniejsze jednak, że twoje opowieści zaciekauiły moją bratanicę. Nie zauważyłem, by dotąd czymkolwiek się interesowała.

- Ależ, wujku, oczywiście, że mam pewne zainteresowania.

- Naprawdę?

- No pewnie - odparła Penny, wkładając do ust długi choinkowy cukierek. - Słuchając Rebeki, zaczęłam myśleć o przyszłości i uświadomiłam sobie, czego nie chcę robić po maturze.

- Do jakiego Wniosku doszłaś? - spytał, wieszając bombkę na choince.

- Nie mam zamiaru iść do college'u.

Rebeka obserwowala, jak bombka wypada Raleighowi z ręki i rozbija się na podłodze, a sam profesor Hanlon odwraca się do bratanicy, lecz odzywa dopiero po chwili milczenia.

- Coś ty powiedziała?

- Że nie pójdę do college'u. Rebeka też nie poszła, a zobacz, jak wspaniale ułożyła sobie życie.

Raleigh przestał się uśmiechać.

- Penny - rzekł poważnie. - Myślę, że powinniśmy jeszcze porozmawiać, zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję.

- Wcale nie musimy, już zdecydowałam.

W pokoju rozległ się chrzęst deptanego szkła, bo Raleigh zrobił krok do przodu.

- Penny...- zaczął ostrzejszym tonem.

- Nie mam zamiaru - zawołała Penny, unosząc podbródek

takim samym ruchem, jak zwykł to czynić profesor Hanlon, gdy się przy czymś upierał.

- Nie sędzę, by twój ojciec zaaprobował ten pomysł - odparł i zacisnął szczęki.

- Nikt mnie nie zmusi, bym poszła do college'u. Ani ty, ani mama. A tata nie żyje - powiedziała Penny, krzyżując ręce na piersi.

Na zewnątrz rozległ się dźwięk klaksonu. Wyraz twarzy Penny natychmiast się zmienił. Miejsce zaciętej miny zastąpił promienny uśmiech. Penny wspięła się na palce, objęła Raleigha za szyję i pocałowała go w policzek.

- To Jen - zawołała. - Nie mogę uwierzyć, że chcesz mieszkać w tym nudnym miasteczku - zwróciła się do Rebeki. - Tu jest równie beznadziejnie, jak w Dałeville.

Znowu zadźwięczał klakson i Penny wybiegła z biblioteki, zanim Rebeka zdążyła odpowiedzieć. Mruczając coś pod nosem, Raleigh odprowadził bratanicę do drzwi i powiedział ostrym tonem:

- Nie skończyliśmy rozmowy.

Po chwili wrócił do pokoju z ponurym wyrazem twarzy,

- Tb typowe dla nastolatki - zauważyła Rebeka, sprzątając na kłęczkach resztki bombki.

Raleigh przez dłuższą chwilę stał w drzwiach z dłońmi wciśniętymi w kieszenie, po czym wreszcie się odezwał:

- Zauważyłaś, jak bardzo osoby w jej wieku ulegają wpływom?

- Raleigh, jeszcze nic nie zostało przesądzone. Penny jest młoda. Nie martwiłabym się tym, co akurat przyszło jej do głowy - powiedziała Rebeka, zbierając ostatnie okruchy szkła.

Ty-nie, bo to nie twoja bratanica. Pewnie z przyjemnością oglądasz kogoś, kto jest tak bardzo podobny do ciebie i właśnie zamierza popełnić największy życiowy błąd. Ale ja nie mogę biernie się temu przyglądać. Droga życiowa, którą wskazałaś, nie nadaje się dla Penny.

- Rozumiem, że ostatnio trudno się wam dogadać, lecz ona ma już prawie osiemnaście lat. Dziewczyny w jej wieku co najmniej raz dziennie zmieniają zdanie na każdy temat - powiedziała Rebeka, próbując uspokoić Raleigha. - W przyszłym tygodniu Penny zobaczy za oknem drzącą z zimna wiewiórkę i zechce pójść na weterynarię. Podobnie będzie z college'em.

- A może porozmawia z tobą i uzna, że nie warto dalej się uczyć? Powinnaś najpierw się zastanowić, a potem dopiero udzielać jej rad.

- Daj spokój, Raleigh. - Rebeką wstała z podłogi. - Nie jestem niemądra, wiem, ile Ona dla ciebie znaczy. Jednakże wywierasz na nią zbyt dużą presję.

- Zbyt dużą? - powtórzył, zbliżając się do kominka. - Zbliży się termin wysyłania zgłoszeń do college'ów. Sądysz, że należy to zlekceważyć? - spytał, patrząc w ogień.

Rebeka nigdy widziała, żeby Raleigh był tak zdenerwowany. Nie reagował w ten sposób nawet na jej szkolne wybryki. Powinien nabrać trochę dystansu do sprawy. Penny jest jedynym dzieckiem jego zmarłego brata i czuje się za nią odpowiedzialny. Rebeka pragnęła mu uzmysłować, iż podziela jego troskę o przeszłość bratanicy.

- Oczywiście, że nie powinieneś niczego lekceważyć - powiedziała spokojnie. - Ale Penny jest inteligentna i da sobie radę. Podobnie było ze mną - dodała, rozkładając ramiona

i uśmiechając się lekko. - Przecież zmieniałam się na lepsze, prawda?

Kiedy Raleigh ciągle patrzył w ogień, Rebeka poczuła jakiś wewnętrzny chłód. Dlaczego nic nie odpowiedział? Czyżby nie zgadzał się z nią, że mimo niechlubnej szkolnej przeszłości ułożyła sobie życie w sposób, z którego może być dumna? Nie chciał przyznać, że wyrosła ma odpowiedzialną, godną szacunku kobietę?

- Powiedz coś - poprosiła, wyciągając ku niemu rękę.

- Słuchaj, zostaw mnie przez chwilę samego - powiedział, nie odwracając wzroku od kominka. - Poczuję się nie najlepiej, a nie chciałbym powiedzieć czegoś, co jeszcze pogorszyłoby sytuację.

Rebeka miała wrażenie, że nagle dostała obuchem w głowę. Zrobiło jej się przykro.

- Na litość boską, Raleigh, nie zamierzam ci w niczym przeszkadzać - odrzekła cicho nieswoim głosem.

- Co takiego? - Raleigh odwrócił się wreszcie od ognia.

- Chciałeś wiedzieć, w jaki sposób skłoniłeś mnie, bym zainteresowała się odległymi miejscami. - Z gniewem uniosła głowę. - Zdecydował o tym moment podobny do tego, kiedy postanowiłam odejść od ciebie tak daleko, jak to tylko możliwe. Teraz spełni się twoje życzenie. Jeszcze dziś się spakuję i wyprowadzę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Rebeko, zaczekaj!

Dziewczyna nie zareagowała, więc Raleigh podążył za nią do przedpokoju.

- Wybacz, że się tak zachowałem - powiedział, gdy zdejmowała płaszcz z wieszaka.

- Przeprasiny nie wystarczą - odrzekła i odsunęła go od siebie.

Wyciągnął ręce, by wziąć od niej płaszcz, lecz nie pozwoliła sobie pomóc.

Rebeko, nie chcę, byś odchodziła w momencie, gdy sprawy tak się ułożyły.

Chyba sam się do tego trochę przyczyniłeś. Odkąd przyjechałam do Follrtt River, staram się ze spokojem podchodzić do wszystkiego, co mówisz, lecz ostatnią uwagą przebrałeś miarę.

- Przepraszam za wszystko, co cię mogło rozgniewać, ale przysięgam, że nie wiem, co tak naprawdę wyprowadziło cię z równowagi.

Rebeka spojrzała na drzwi, które Raleigh zastawił ręką. Przygryzła wargę, zastanawiając się, co powinna zrobić, i doszła do wniosku, że najlepiej będzie porozmawiać i wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Nie była już przecież krnąbrną nasto-

łatką, zbuntowaną przeciw niesprawiedliwej karze, lecz kontrolującą swoje uczucia dojrzałą kobietą.

- Wyznałam ci, że od szkolnych czasów zmieniałam się na lepsze. Potem spytałam, czy się ze mną zgadzasz. A ty odparłeś, że nie chcesz powiedzieć nic czego byś potem żałował. Gdy wyciągnęłam rękę, ostudziłeś moje zapały. Raleigh, nie chcę tu zostać i pozwolić, byś się na mnie wyżywał.

- Nie odpowiedziałem jeszcze na pytanie ani nawet cię nie wysłuchałem.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i roześmiała się gorzko,

Zrobiłeś więcej - rzekła, a potem sięgnęła ku klamce.

Nim zdołała jej dotknąć, Raleigh uchwycił ją za przeguby rąk i przyciągnął do siebie.

- Co się z nami dzieje? - spytał zachrypłym głosem.

Rebeka odwróciła głowę, lecz Raleigh nadal tulił ją do piersi. Oboje bali się cokolwiek powiedzieć. Raleigh wdychał woń włosów Rebeki i mówił sobie w duchu, że im dłużej będzie ją trzymał w ramionach, tym szybciej minie jej gniew. Wszystkiego warto było spróbować, byle nie odeszła. Poczł, że próbuje się od niego odsunąć.

Rebeko, przecież niedawno oboje tego pragnęliśmy. Nie moglibyśmy zacząć jeszcze raz?

- Nie wiem, czego ty w końcu chcesz - powiedziała.

Zrozumiał, że Rebeka nie czuje już gniewu. Miała łzy w oczach, a jej rozchylone wargi wyraźnie drżały.

- Chodź, - Wziął ją za rękę i zaprowadził do biblioteki,

Kiedy dotarli do skórzanej kanapy przy kominku, Rebeka spojrzała podejrzliwie na Raleigha, a potem siadła jak najdalej od niego.

- Chciałbym, żebyś coś zrozumiała. Penny to mój jedyny łącznik ze zmarłym bratem. Byłem przekonany, że skłonię ją, by jesienią poszła do college'u. Kiedy dziś wieczorem stwierdziła, że nie zamierza kontynuować nauki, poczułem się pokonany... - Raleigh przytknął oczy.

Powiedz to, ty tchórze, pomyślał. Powiedz, że uznałeś, iż znowu poniosłeś klęskę, tak jak z Buddym. Uniósł powieki, lecz nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Miałaś rację, że nie powinienem oczekiwać, by Penny już teraz wiedziała, co chce robić w przyszłości, ale nie jest mi obojętne, czy będzie się dalej uczyć, czy nie. Przez całe życie ceniłem wykształcenie. Jeśli ktoś je posiada, nikt mu go nie odbierze - dodał. - Skoro nie mogę przywrócić Penny ojca, chciałbym choćby ułatwić jej życiowy start. Jeżeli uda mi się ją o tym przekonać, wiem, że nie będzie niczego żałowała. Rebeko, wskaż choć jedną osobę, która, mając szansę pójść do college'u, nie skorzystałaby z niej, a potem tego nie żałowała.

Rebeka nerwowo przygryzła wargę i spojrzała Raleighowi w oczy. Odetchnął z ulgą, widząc, że jednak zastanawia się nad tym, co powiedział. Miała ogromną intuicję i zdolność rozumienia drugiego człowieka, dlatego ciągle nawiedzała go myśl, by wyznać jej prawdę o Buddym i okolicznościach jego śmierci. Odsuwał jednak tę pokusę, wmawiając sobie, że są sprawy, do których lepiej nie wracać.

- W każdym razie jestem ci wdzięczny - ciągnął, starając się, by jego głos brzmiał łagodnie. - Odkąd Penny cię spotkała, zaczęła bardziej interesować się swoją przyszłością. Wybacz, że dopiero teraz ci to mówię, ale zawsze zdawałem sobie sprawę z twoich możliwości oraz inteligen-

cji. Wierzyłem także, że będziesz umiała pokierować swoim życiem.

Raleigh zawahał się przez chwilę, a potem dorzucił:

- Buddy był do ciebie bardzo podobny.

Odchrząknął i znowu spojrzął na Rebekę.

- Naprawdę mi zaimponowałaś swoimi osiągnięciami i jeśli Penny choć w połowie osiągnie tyle co ty, będę bardzo szczęśliwy. Wierz mi, zmieniłaś się więcej niż na lepsze.

Chciał pocałować ją w czoło, lecz odsunęła się trochę, tak że dotknął wargami jej skroni.

- Proszę, nie staraj się być wobec mnie uprzejmy. To ja powinnam cię przeprosić.

- Za co? Niezależnie od tego jak bardzo byłem zmartwiony słowami Penny, nie powinienem był wyżywać się na tobie. Zasłużyłem na wszystko, co powiedziałaś w przedpokoju.

- Nie wszystko powinnam była powiedzieć i na pewno nie takim tonem - odparła, dotykając skroni, na której czuła jeszcze ślad pocałunku. - Dobry z ciebie człowiek, Raleigh - ciągnęła. - Teraz rozumiem, dlaczego czujesz się odpowiedzialny za Penny...

- Co masz na myśli?

- To jasne. Nie pojmuję, czemu wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Bardzo kochałeś brata. Kiedy zmarł, postanowiłeś jego córcę zastąpić ojca.

Raleigh westchnął ciężko. Po tylu latach ciągle bolał nad stratą Buddy'ego. Rebecka mu współczuła, lecz instynktownie wyczuwała, że jakakolwiek sentymentalna scena byłaby nie na miejscu.

Pochyliła się i nakryła mu rękę dłońmi.

- Raleigh, swoim postępowaniem niechcący sprowoko-

walam cię do bolesnych wspomnień, a potem poczułam się urażona twoją reakcją, nie czekając na wyjaśnienia, co było jej przyczyną.

Raleigh chciał zaprotestować, lecz Rebeka nie pozwoliła, by jej przerwał.

- Ułożyłam sobie życie, nie mając wyższego wykształcenia, ałe czasami sędzę, że straciłam coś ważnego, rezygnując z dalszej nauki.

- Nie musisz tego mówić z uwagi na to, że jestem profesorem college'u - zauważył. Rozluźnił krawat i rozpiął górny guzik koszuli.

- Ależ to prawda. Pragnęłam ją wyznać... nie komukolwiek, lecz tobie - powiedziała uśmiechając się nieśmiało.

- Jak brzmi to przysłowie? „Nie żałujesz swoich uczynków, lecz tego, czego nie zrobiłeś”. Uzyskałam kiepskie oceny na i maturze, ale pewnie poradziłabym sobie w college' u. Miałam szansę i ją zaprzepaściłam.

- Rebeko...

- Wiem, co masz zamiar powiedzieć. Że jestem inteligentna i że się sprawdziłam. Zyskałam, co prawda, doświadczenie życiowe, ale to nie to samo, co wyższe wykształcenie. W każdym razie nie dla mnie. Widzisz, niełatwo się do tego przyznać, więc proszę, nie rób mi wykładu.

- Nie będę. - Przysunął się do niej, ujął ją za rękę i splótł swoje palce z jej palcami,

Światła na choince rozbłyły jak tęcza. Po pokoju snuł się zapach drewna palącego się na kominku. Z ulicy dobiegały dźwięki kolęd śpiewanych przez dzieci. Najważniejsze jednak dla Rebeki było zrozumienie, które wyczytała w spojrzeniu Raleigha. Sprawilo ono, że powrócił magiczny nastrój chwili.

Ponownie spojrzała w oczy Raleigha i dostrzegła w nich rosnącą namiętność. Serce zaczęło bić jej szybciej. Widziała, jak bardzo jej pragnął.

- Tak długo na ciebie czekałam - szepnęła. - Raleigh...

Pocałował ją mocno, a potem wziął w ramiona i uniósł z kanapy.

- Powiedz, chcę to usłyszeć.

- Kochaj się ze mną... jakby nie było jutra.

- Mam taki zamiar - odrzekł. Zdjął z Rebeki sweter i okrył pocałunkami obnażone siao.

Odsunął się nieco, by popatrzeć na jej piersi. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezbronna i bezpieczna zarazem. Cokolwiek zamierzał, była na to gotowa.

- Uprzedzam, że nie mam zamiaru się hamować, więc jeśli zmieniłaś zdanie, powiedz.

Zamiast odpowiadać, cofnęła się o krok, zrzuciła pantofle, i zaczęła rozpinąć spódniczkę. Kuszącym ruchem, powoli zsunęła ją z bioder, a potem pozbyła się również skąpych majteczek. Gdy pozostała tylko w pończochach, prowokującym ruchem wsunęła palce za podwiązki.

- Doskonałe wiesz, że pragnę tego równie mocno jak ty - powiedziała, przysuwając się bliżej. - Pocałunki i pieszczoty nam nie wystarczą.

Gdy patrzył na jej ciało, połyskujące bursztynowo w blasku ognia, zrozumiał, że znalazł wreszcie kobietę, która wie, co znaczy namiętność. Do tej pory, przez całe lata, starał się panować nad nią, głuszyć ciężką pracą i tysiącami innych sposobów. Dziś z Rebeke mógł wreszcie dać jej ujście. Patrząc Rebecę w oczy, wziął dwie poduszki z kanapy i rzucił na dywan przed kominkiem.

- Masz rację, pocałunki i pieszczoty to nie wszystko.

Sięgnął do kieszeni, wyjął pakiecik prezerwatyw i położył go na kanapie. Rebeka rozpakowała pakiecik, a jego zawartość wsunęła za podwiązkę.

- Zaczynamy, profesorze. - Zaśmiała się i położyła na dywanie tuż przy kominku.

Ułożyła sobie poduszkę pod głowę. Raleigh, rozbierając się, nie mógł oderwać wzroku od wspaniałych kształtów, które rysowały się kusząco w ciepłym blasku ognia. Prowokacyjna poza Rebeki przywodziła na myśl dzieła sztuki erotycznej. Raleigh poczuł, że ogarnia go pożądanie. Przez sześć lat był żonaty, a potem miał wiele kochanek, lecz żadna z kobiet nie potrafiła poruszyć go tak jak Rebeka.

Kochali się z prawdziwą furją. W powietrzu unosiły się szepty, jęki i krzyki obojga. Rebeka umiała zrealizować najdziksze fantazje, jakie kiedykolwiek miewał jej kochanek. Podniecała go aż do granic bólu.

- Zaczekaj szepnęła w pewnym momencie i ułożyła się na brzuchu, by mogli się kochać również w innej pozycji.

Raleigha ogarnęło poczucie szczęścia. Uświadomił sobie, że wreszcie spotkał kobietę równie namiętą jak on sam.

Po skończonym akcie miłosnym przytulił się do niej, pragnąc przedłużyć rozkosz, a kiedy się odsunął i wyprostował, Rebeka zaczęła gładzić palcami jego pierś i całować ramiona, dając mu do zrozumienia, że ciągle nie ma dosyć.

- Tak mi z tobą dobrze, bezpiecznie. Uwielbiam dziką namiętność - powiedziała.

- Wierzę - odrzekł, delektując się jej widokiem i pieszczotami. - W paru stanach pewnie by nas aresztowali za tę dzikość.

- Naprawdę?. - spytała. - To podniecające.

Ułożyła RaJeigha na plecach i usiadła, otaczając mu biodra udami.

- Od lat nie byłam aresztowana - oznajmiła.

- Rebeko! Co robisz? Nie możesz... - zawołał ze śmiechem i przesunął dłonią po twarzy.

- Kto by pomyślał? Reb Barnett i Bezlitosny Hanlon w takiej komitywie. Śmieją się, rozmawiają i... - Potrząsnęła głową, a potem pochyliła się, by ucałować ramiona kochanka.

Raleigh wpatrywał się w Rebekeę i miotały nim różne uczucia. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że już zawsze będzie jej potrzebował.

Odwrócił wzrok. Nie mógł sobie przypomnieć, by wcześniej myślał o kimś w podobny sposób. Czy mają przed sobą jakąś przyszłość? Czy łączy ich coś więcej niż pożądanie? Nasuwało mu się tyle pytań, na które nie znał odpowiedzi. Może nawet wołał ich nie znać?

Spojrzał na kostkę Rebeki i uśmiechnął się lekko. Tylko to jedno pytanie nie dawało mu spokoju od dnia, gdy zobaczył ją nagą w basenie. Spojrzał jej w oczy.

Uśmiechnęła się domyślnie, jakby odgadła, o co chciał spytać.

- Odpowiem na twoje pytanie, jeśli ty odpowiesz na moje - zaproponowała.

- Dobrze - zgodził się. - Skąd masz tę bransoletkę?

- Tę, którą noszę na nodze? - upewniła się i wzruszyła ramionami. - Z Jamajki. Kupiłam ją w Ocho Rios jakiś rok temu - wyjaśniła i z uśmiechem pogroziła Raleighowi palcem. - Pewnie sądziłeś że to prezent od jakiegoś kochanka. Dlaczego? Czy mam uwierzyć, że jesteś zazdrosny?

- Byłem tylko ciekaw - odparł, łaskocząc ją tak długo, aż zaczęła prosić, by przestał.

- Popatrz na mnie - poprosiła.

Ujęła w dłonie twarz Raleigha i ciągnęła:

- Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, by porozmawiać. Ale teraz chcę, byś wiedział, że nie miałam całego orszaku kochanków. W Miami byłam z kimś przez dwa lata. Rok temu zerwaliśmy ze sobą.

- Powiesz mi, dlaczego?

Rebeka usiadła i skrzyżowała ramiona.

- Właściwie nie wiem. Sądzę, że on też nie wiedział. Był miły, rozsądny. Miał niby wszystko, czego kobieta mogłaby oczekiwać od mężczyzny. Czegoś mu jednak brakowało. Teraz wiem, czego.

- Mianowicie? - spytał z zainteresowaniem:

- Namiętności - odparła, pieszcząc dłońmi ciało Raleigha. - Namiętności i wszystkiego, co się z tym wiąże, a co ty doskonale rozumiesz.

Ujął ją za rękę i ucałował je.

- Tak - przyznał. - Byłem żonaty z miłą kobietą, która przez sześć lat próbowała... dopasować się do mnie. Rebeko, z nikim nie było mi tak, jak z tobą.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy w pełnym porozumieniu.

- Mogę cię o coś prosić? - szepnęła.

Skinął głową, czując narastające pożądanie.

Przekazała mu na ucho swoje życzenie, dokładnie wyjaśniając szczegóły. Nie zamierzał jej niczego odmawiać, chciał się tylko upewnić.

- Teraz? - zapytał.

- Raleighu Hanlonie, czy musisz pytać? Nie wiesz, że mają to być najszcześniejsze święta ze wszystkich, jakie dotąd przeżyłeś?

Sięgnęła po następne opakowanie prezerwatyw, rozerwała je i podała Raleighowi.

- Nawet gdybym miała zostać aresztowana - dodała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Głębia namiętności Raleigha zdumiewała ją i inspirowała zarazem. Rebeka pieściła go wargami, a on wędrował palcami po jej włosach, szepcząc słowa miłości, które zamieniały noc w senne marzenie. Tyle że marzenie nigdy nie bywa tak cudowne jak ich akt miłosny.

Po raz pierwszy w dorosłym życiu Rebeka czuła, że nadeszło spełnienie. Całowała dłoń Raleigha, wpatrując się w choinkowe światła.

- Jesteś wyjątkowo milczący - zauważyła. - O czym myślisz?

- Przecież potrafisz czytać w myślach - odparł.

- Owszem - przyznała z powagą. - Lecz teraz przeprowadzam test.

Raleigh przesunął dłonią po jej biodrze i przyciągnął ją do siebie.

- No dobrze, myślałem o tym, jak się kochaliśmy. O tym, że wiesz, co lubisz i nie masz oporów, by o to prosić. I o tym, że umiesz zgadnąć, co ja lubię, zanim zdążę o tym powiedzieć.

Rebeka uśmiechnęła się z zadowoleniem i położyła sobie rękę Raleigha na piersi, zachęcając go do dalszych pieszczot. Miał rację. Wzajemnie uprzedzali swoje pragnienia, docierali do ukrytych tęsknot i cudownie spełniali swoje marzenia.

- Raleigh - szepnęła tylko po to, by usłyszeć jego imię.
- Nigdzie się nie wybieram - odrzekł, łaskocząc ją w szyję, aż zachichotała. - Ale chciałbym cię jeszcze o coś spytać.
- Proszę bardzo.
- Skąd to się w tobie wzięło?
- Nie rozumiem.
- Ten... duch, który przenika wszystko co robisz.

Zastanowiła się przez chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem. Ciągłe trzymając go za rękę, wskazała na choinkę.

- Myślę, że to się zaczęło pod takim drzewkiem jakieś dwadzieścia dwa lata temu.

Raleigh wsparł się na ramieniu, by sceptycznie popatrzeć na choinkę i na Rebekeę.

- Miałaś wtedy sześć lat. Czy ja w ogóle chcę tego słuchać?

- Przecież umierasz z ciekawości - zauważyła, przewracając go na poduszkę. - Dorastałam z dworna braćmi i siostrą w bardzo tradycyjnej rodzinie. Chłopcy brali lekcje karate, a dziewczynki uczyły się tańca. Oni pracowali na podwórzu, my w kuchni. Moja siostra nigdy tego nie kwestionowała, ja - owszem.

- Oczywiście - wtrącił Raleigh.

- Ale nauczyłam się z tym żyć. Nie wytrzymałam tylko w czasie świąt Bożego Narodzenia, bo Mikołaj przynosił mi te wszystkie nie chciane lalki i robótki do haftowania, a braciom samochodziki i elektryczną kolejkę, z tymi wspinającymi tunelami, małymi mostami i drzewkami - ciągnęła, siedząc.

Raleigh z trudem powstrzymał uśmiech, widząc, jak przeżywała swoją opowieść.

- Były tam również cudowne krówki, latarenki i ludziki w małych domkach.

—Życie jest niesprawiedliwe - stwierdził Raleigh.

- Masz rację. Siadywałam na kolanach Świętego Mikołaja i przez cztery Jaty próbowałam mu wyjaśniać, dlaczego chciałabym mieć własną kolejkę. Mówiłam, że bracia nie pozwalają mi dotykać swoich zabawek. Przestań się śmiać - zawołała, uderzając Lekko Raleigha łokciem w pierś. - Nie wyobrażasz sobie, jak to jest gdy o północy schodzi się po schodach, i porywa spod choinki kolejkę. Pomyśl, jaka byłam wściekła, gdy w ciemnościach przytapywali mnie bracia i... nie śmieję się - powtórzyła, sama wybuchając śmiechem. - W każdym razie to zdecydowało o dalszym biegu mego życia.

I Mikołaj nigdy cię nie wysłuchał?

- Nie.

Rebeka sięgnęła po koszulę Raleigha, włożyła ją i wstała.

- Czyż nie jest to najgorsza opowieść o Świętym Mikołaju, jaką słyszałeś? - spytała, opierając rękę na biodrze.

- O mało się nie popłakałem - przyznał, trzęsąc się ze śmiechu. - Dokąd idziesz? - zawołał, chwytając Rebeke za kostkę.

- Po tych świątecznych wspomnieniach przypomniałam sobie, że mam coś, czym można ozdobić twoją choinkę.

Dlatego zabrałaś moją koszulę i zostawiasz mnie tu samego? - jęknął Raleigh. - Czyż to nie jest forma porzucenia?

- Rzeczywiście wyglądasz jak samotnik, leżąc tam nago. - Rebeka z rozbawieniem podtrzymywała tę nonsensowną pogawędkę. - Pomyśl, czy wytrzymasz beze mnie przez trzydzieści sekund?

- Trzydzieści sekund? - powtórzył. - Chyba że zostawisz coś, co będzie mi ciebie przypominało.

- Trzydzieści sekund, niecierpliwy człowieku, a potem, jeśli nie spodoba ci się mój prezent, obiecuję, że na czworakach będę błagać o przebaczenie.

- W takim razie rzecz* którą przyniesiesz, z pewnością mi się nie spodoba - obiecał ze śmiechem.

- Wstydź się, profesorze.

Zgodnie z przyrzeczeniem zniknęła na niecałe pół minuty. Gdy wróciła, Raleigh zapinał spodnie i podchodził do choinki.

- Nie zapakowałam tego - powiedziała Rebeka, wyciągając z torby ozdobę choinkową.

Raleigh obejrzał dokładnie błyszczące jabłko ze złotym ogonkiem. Dotknął opuszką palca zielonych listków, a potem spytał:

- Ukradłaś je?

- Co takiego? - spytała, domyślając się, że Raleigh żartuje.

W ciągu kilku ostatnich godzin okazał znacznie więcej poczucia humoru niż przez wszystkie lata, gdy był jej nauczycielem.

Profesor Hanlon zdjął długi cukierek z choinkowej gałązki, a na jego miejsce zawiesił czerwone jabłuszko.

- Miałem nadzieję, że coś z nim będzie nie tak. Wtedy zobaczyłbym cię na czworakach...

- Raleighu Hanlonie, co za okropne rzeczy wygadujesz - zawołała. - Ciągłe mnie oskarżałeś w szkole o jakieś występki. Czy wiesz, że to mogło spowodować trwałe urazy?

- Występki? - zapytał, chwytając ją w ramiona.

- Och, nie. Co chcesz zrobić? Zaprowadzisz mnie na komisariat policji?

- Oczywiście, że nie, ale przekroczyłaś wszystkie granice. A ppza tym twoja kryminalna działalność związana jest teraz wyłącznie ze mną.

- Co z ciebie za facet! Dokąd mnie zabierasz? - krzyknęła, gdy porwał ją w ramiona.

- Do sypialni. Ja też mam dla ciebie kilka prezentów - powiedział.

- Przecież święta są dopiero za kilka dni - przekomarzała się, gdy Raleigh wnosił ją na górę.

- Możesz uznać je za prezenty przedświąteczne - odrzekł Raleigh. - W przeciwieństwie do twojego są hermetycznie zapakowane - dorzucił.

Rebeka pomyślała przez chwilę, a potem zarumieniła się, skryła twarz na ramieniu Raleigha i wybuchnęła śmiechem, bo zrozumiała, że mówił o prezerwatywach.

- Nie mogę się doczekać, kiedy je otworzymy, Dużo ich jest? - zapytała.

- Cała masa - zapewnił.

Rozbawieni, dotarli do sypialni. Raleigh otworzył drzwi i rzekł:

- Zobaczycy pani, panno Barnett. Ja też mam zamiar u-szczęśliwić panią podczas tych świąt.

Po raz pierwszy od lat Raleigh zachowywał się jak student, śmiał się i żartował. Zegar w jego uczelnianym gabinecie zaczął odmierzać nowy czas. Godziny spędzane bez Rebeki dłużyły się niepomrotnie, więc starał się jak najszybciej wracać do domu, by ją zobaczyć.

Kiedy witała go popołudniami, zawsze miała wiele do opowiedzenia na temat swoich zajęć. Przy kolacji dzieliła się

z Raleighem nowinami z przygotowań do zjazdu koleżeń-
skiego, wrażeniami z odwiedzin u rodziny i kłopotami, które
pojawiały się w trakcie powoływania filii jej biura turystycz-
nego w Foltert River.

Raleigh starał się nie myśleć o wyjeździe Rebeki, ale kiedy
przypadkiem napomknęła, że sprawy związane z uruchomie-
niem nowego biura zatrzymają ją dłużej w rodzinnej miejsc-
owości, poczuł, jak kamień spada mu z serca. Po usłyszeniu tej
wiadomości zaczął swobodnie rozprawiać o własnej pasji
pedagogicznej i nowych podejściach do nauczania historii.
W trakcie opowieści o szczegółach pracy nad książką poświę-
coną cywilizacjom prekolumbijskim przeproszał Rebeke, że
ją zanudza, lecz ona nalegała, by mówił dalej. Widać było, że
ten temat bardzo ją interesuje.

Kiedy zasugerowała, iż jego codzienne telefony do Penny
mogą raczej zaszkodzić niż pomóc sprawie skłonienia brata-
nicy do kontynuacji nauki, przestał dzwonić. Dużo czytał,
ignorował zaproszenia na przedświąteczne przyjęcia, bo
chciał spędzać więcej czasu z Rebeke. Któregoś popołudnia
poprosiła, by wybrał się z nią do przyjaciół.

- Rodzina Jade Macleod wydaje dla niej powitalne przy-
jęcie. Na pewno rozpoznasz wielu gości - powiedziała.

- Z pewnością - przyznał. Poczuł się winny, że dotąd
pragnął mieć Rebeke wyłącznie dla siebie.

Potem przyszła mu do głowy inna myśl. Przecież nie mógł
odrzuć zaproszenia na imprezę uczelnianą, która miała od-
bywać się w tym samym terminie, co przyjęcie Jade.

- Do licha. Tego wieczora mam spotkanie w college'u.
Będzie tak samo nudno jak zawsze, ale nie mogę na nie nie
pójść.

- Przyjęcie u dziekana Callahana? To nie problem, bo...

- Słuchaj - przerwał jej, biorąc ją w ramiona. - Do tej pory bardzo samolubnie dysponowałem twoim czasem. Idź do Jade i baw się dobrze, a ja spełnię mój służbowy obowiązek.

- Raleigh, czy w ten sposób chcesz mi dać do zrozumienia, że ci się znudziłam? - spytała, żartobliwie uderzając go palcem po nosie.

- Oczywiście, że nie - zapewnił i pocałował ją namiętnie. - Ale zasługujesz na to, by spędzić trochę czasu z przyjaciółmi, których nie widziałas od dziesięciu lat. A poza tym jeśli zobaczą cię z Bezlitosnym Hanlonem, uciekną z krzykiem. Nie. Już i tak zabrałem ci zbyt wiele czasu. Nalegam, byś poszła na przyjęcie do Jade beze mnie.

Kręcąc się po kuchni, Rebeka zauważyła, że Raleigh myśkuje w lodówce. Mogła mu powiedzieć, jak zamierza rozwiązać sprawę poniedziałkowego wieczoru, lecz uznała, że niespodzianka będzie zabawniejsza. Tymczasem oparła łokcie na blacie szafki i z przyjemnością przyglądała się spodniom, opinającym zgrabne pośladki Raleigha. Ostatnio ubierał się do college'u w dżinsy i tweedowe marynarki, co bardzo jej odpowiadało.

- Pewnie będziesz za mną tęsknić w poniedziałek wieczorem.

- Będę - potwierdził, wydobywając z lodówki butelkę piwa.

Oparł się o framugę drzwi, uśmiechnął do Rebeki i pociągnął łyk orzeźwiającego napoju.

Tak sądzę - mruknęła, biorąc do ręki mandarynkę.

Zaczęła ją obierać i całe pomieszczenie wypełnił cytrusowy zapach.

- Tak sądzisz? - powtórzył, unosząc brwi ze zdziwieniem.

- Tak. Obiecałam, iż spędzę ten dzień oraz część następnego z rodziną. Mama narzeka, że nie widuje mnie wystarczająco często.

- Ma rację. Powinnaś do niej pójść - zgodził się. - Kiedy wrócisz?

- Pewnie we wtorek po południu. W wigilię - odrzekła, spoglądając na Raleigha przymrużonymi oczami.

Raleigh przygryzł wargę.

- Robisz kwaśną minę?

- Oczywiście, że nie. Profesorowie nie robią min, tylko pograżają się w zadumie, ale nie na długo - zapewnił, podszedł do niej, włożył jej do ręki butelkę z piwem i zaczął rozpinać bluzkę Rebeki.

- Czy mogę w czymś ci pomóc? - zapytała, trzymając w jednej dłoni mandarynkę, a w drugiej butelkę.

- Nie, dziękuję. Orientuję się, gdzie co jest - odparł. - Powinniśmy zacząć... - Przycisnął Rebekę do kuchennego blatu.

- Co takiego?

- Robić makijaż na przyszły poniedziałek - wyjaśnił.

- Jesteś perfekcjonistą. Przywiązujesz wagę do takich rzeczy.

- Do Ucha! Już za tobą tęsknię - zawołał i odepchnął krzesło, które stało im na drodze.

W chwili gdy to mówił, Rebeka wiedziała, że Raleigh nie żartuje.

Rebeka od razu dostrzegła Hanlona, gdy weszła na poniedziałkowe przyjęcie u dziekana Callahana. Odwrócił się właśnie od grupy osób przy bufecie i zmierzał w jej kierunku.

Zauważył ją i zatrzymał się zaskoczony. Szybko rozejrzał się dokoła, a potem podszedł do niej.

- Dlaczego nie jesteś u Jade? - spytał.

- Byłam, profesorze - odparła, machając na powitanie dziekanowi - Trochę pobladłam. Chyba to nie atak serca, prawda?

- Jeszcze niepowiedział lekko zmieszany.

Obejrzał się, by zobaczyć, co się dzieje za jego plecami.

- Kogo witałaś?

- Dziekana Callahana. Wiesz, nie mogłam opuścić najbardziej uroczystego przyjęcia w roku. Czy sądzisz, że będzie rozgniewany? A zresztą wszystko mijedno - rzekła, ściskając lekko Raleigha za ramię. - Zaraz się przekonamy - dodała

Hanlon rzucił Rebecę ostrzegawcze spojrzenie.

- Słuchaj - powiedział jej do ucha. - Powiem mu, że jesteś moją narzeczoną i po prostu przyszłaś nieco później.

- Będziesz kłamał z mojego powodu? Jakie to słodkie! - zachwyciła się i wyciągnęła rękę, by powitać dziekana, zanim Raleigh zdążył cokolwiek wyjaśnić. - Cieszę się, że pana widzę - rzekła do Callahana.

- Ja również, moja droga. Jestem zachwycony, iż udało ci się przyjść - rzekł dziekan tak głośno aż kilka osób popatrzyło na nich - Mam nadzieję, że moje wskazówki, jak znaleźć ten budynek, okazały się jasne. To mogło być trudne dla kogoś, kto nie zna terenu.

- Świetnie pan wszystko wyjaśnił, ale i tak bym trafiła, mając na zaproszeniu adres - odparła, rzucając ukradkowe spojrzenie na Hanlona, który tylko potrząsał głową.

Dziekan przyglądał się Rebecę z uśmiechem pełnym satysfakcji.

- Raleigh - rzekł. - Może byś się zatroszczył o pannę Barrett, spytał, czy czegoś nie potrzebuje.

- Właśnie miałem się tym zająć, sir - odparł Hanlon. Patrzył na Rebekę z lekkim wyrzutem i jednocześnie rozba-
wieniem.

- Chcesz się napić szampana? A może potrzebujesz chwili samotności, by pozbyć się tego słodkiego uśmiešku z twarzy?

- Nie, dziękuję - odparła niewinnie. - Wydawało mi się, że ty jej potrzebujesz.

- Może odrobiny.

- Czy pozwolisz, że już teraz sprawdzę ci puls?

- Nie dotykaj mnie - powiedział. Bardzo się starał nie roześmiać.

- Myślisz pewnie teraz, że zakłócę atmosferę przyjęcia, prawda?

- Sani nie wiem, co myślę - odparł, patrząc na nią rozko-
chanym wzrokiem. - Poza tym, że od chwili gdy cię tu ujrza-
łem, to spotkanie przestało być tym samym nudnym rytuałem,
który odbywamy co roku - dodał, rozglądając się dokoła.

- Powiedz mi, czy w twoim słowniku pojawiło się kiedykol-
wiek słowo „konwencjonalny”?

Rebeka przeraziła się trochę i ogarnęły ją wątpliwości. Wiedziała, że Raleigh lubi jej spontaniczność, więc czemu nie miałyby zaakceptować i tego żartu? Myśl, że mógłby go nie pochwalać, wydawała się bezsensowna. To przecież nie był wyczyn podobny do tych zę szkolnych lat. Po prostu chciała mu zrobić niespodziankę i dzielić z nim radość tego wieczoru.

- Cóż - odparła, bawiąc się zameczkiem wieczorowej to-

rebki, by odpędzić nieprzyjemne myśli. - Uznam tę uwagę za komplement. W każdym razie próbowałam powiedzieć ci, gdy tak bardzo nalegałeś, bym poszła na przyjęcie Jade, że dziekan mnie również tu zaprosił.

- I co teraz? - spytał, prześlizgując się wzrokiem po aksamitnym staniczku jej, wieczorowej sukni w kolorze burgunda.

- Ach, rozumiem - rzekła, uśmiechając się z ulgą. - Nikt tutaj nie wie, że od ponad tygodnia jadamy razem śniadania.

- Właśnie - mruknął. - Gdyby ktokolwiek z tu obecnych domyślił się, że jesteśmy dla siebie kimś więcej niż tylko gospodarzem domu i sublokatorką, przez resztę wieczoru byłibyśmy obiektem ogólnego zainteresowania. A to mi nie odpowiada. Ale powiedz, jak udało się przyjęcie u Jade? - spytał, gdy obok przeszło kilka osób.

- Było świetnie - odparła, powstrzymując uśmiech. - Na prawdę znakomicie. Jade przywiozła ze sobą do Follett River wspaniałego i mezczyzne. Opowiadała wszystkim, że to jej asystent, lecz Megan i ja wcale w to nie uwierzyłyśmy

- Czemu?

- Och, to przecież widać, jeśli coś jest między dwójgim ludzi, nie sądzisz?

- Być może. Nurtuje mnie inne pytanie: czy dół twojej sukni jest zrobiony z tafty?

- Bardzo pan dziś spostrzegawczy, profesorze - zauważyła Rebeka. - Nie masz chyba uczulenia na taftę, prawda?

Któż by się tym przejmował? Jesteś warta wysypki.

- Lubię, kiedy tak mówisz.

Raleigh wzięła ją pod ramię i zaprowadził między palmy w donicach, tak aby reszta gości nie mogła ich dostrzec. Przy-

cisnął Rebeke do marmurowej kolumny i tak zachłannie pocałował, że aż zaparł jej dech w piersiach.

- Obawiam się, że tafta będzie szeleścić jeśli przesunę ręką wzdłuż twoich nóg - powiedział

- Jedwabną tafta; nie szeleści - zapewniła. - Spróbuj, a przekonasz się.

Raleigh rozejrzył się dokoła, potem spojrzał namiętnie na Rebeke i włożył rękę pod jej suknię, by przesunąć ją w górę między nogami dziewczyny.

- Lubisz to, prawda? - spytał z ukrytym podnieceniem, jakie wywołała, zakazana pieszczota,

- Uwielbiam - odparła, lekko uciskając dłonią napiętą męskość Raleigha. - Wiesz, dlaczego?

- Dlaczego? - spytał, z trudem chwytny oddech.

Rebeka sięgnęła drugą ręką ku włosom Raleigha i przyciągnęła jego głowę ku swojej.

Bo ty to lubisz - powiedziała

Poczuł, że jego ciało reaguje gwałtownie na prowokacyjne ruchy Rebeki., Czy chciał, tego, czy nie, miała rację. Przepadał za stąpieniem po krawędzi, gdy była w, pobliżu. Podniecało go to i przerażało zarazem.

- Raleigh? Ktoś się zbliża - ostrzegła

W ostatniej chwili wysunął dłoń spomiędzy ud Rebeki i cofnął się o kroki kilką sekund później skinął głową jakiejś parze, podążającej do sali balowej; Spojrzył na Rebeke, która uśmiechnęła się triumfująco

- Wątpię, czy potrafiłabyś udowodnić, że lubię to równie bardzo jak ty - powiedziała, zastanawiając się czy Rebeka przyjmie to jak słowa uznania dla swego niespokojnego ducha czy też potraktuje jak wyzwanie.

- Tak bardzo lubisz, że gdybym ci powiedziała, iż przyjdę na to przyjęcie, nie mając bielizny pod sukienką, zrobiłbyś wszystko, byle tylko to sprawdzić.

Uśmiechnęła się leciutko i pozostawiając go sam na sam z jego myślami, skierowała się ku sali balowej.

Kiedy wreszcie mógł się poruszyć, dogonił ją.

- Mówisz poważnie? Naprawdę niczego nie masz pod spodem?

- Przecież powiedziałam, profesorze - rzuciła swobodnie, trącając go po przyjacielsku w ramię i spoglądając na zegarek.

- Musisz mi wybaczyć. Robi się późno, a ja nie poświęciłam jeszcze czasu gospodarzowi wieczoru - rzekła, rozglądając się za dziekanem Callahanem.

Raleigh został sam. Odprowadził Reбекę wzrokiem, myśląc, że tym razem przesadziła w żartach. Kwadrans później ciągle ha nią patrzył, zastanawiając się, czy to, co mówiła, było prawdą. Uznał, że musi to sprawdzić, i poszedł szukać Rebeki.

- Żartowałaś - powiedział, stając tuż za nią.

- Ani trochę - rzuciła przez ramię.

- Rebeko - odezwał się dziekan. - Mówiłaś coś?

- Właśnie zauważyłam, że czuję tu lekki przeciąg.

- W starych budynkach bywają przeciągi - przyznał Callahan. - Zgodzisz się z rym, Raleigh, prawda? - dodał, zwracając się do młodszego kolegi.

- Przepraszam...? Tak, tu jest bardzo duszno - wybąkał Hanlon, próbując rozluźnić krawat, a gdy spojrzało nań kilka par zdziwionych oczu, zorientował się, że palnął głupstwo.

- To jest... chciałem powiedzieć... zimno - poprawił się.

- Po drugiej stronie korytarza jest cieplarnia. Tam panuje

inna temperatura. Znasz to miejsce? - zwrócił się z pytaniem do Rebeki.

- Nie - odparła.

- Pozwól, że ci je pokażę - zaproponował, gratulując sobie w duchu pomysłu.

Światło księżyca, orchidee i Rebeka.

- Szkoda, że nie wspomniałeś o tym wcześniej - powiedziała, spoglądając na zegarek. - Mama czeka na mnie w domu.

Zaskoczony Raleigh otworzył usta i przez kilka sekund stał jak oniemiały.

- Wychodzisz? - spytał w końcu.

- Obawiam się, że muszę. Miło się z tobą gawędziło. Może wkrótce uda się nam spotkać, wtedy zobaczymy, co można zrobić w sprawie tych... zagubionych fragmentów.

Raleigh zupełnie zapomniał, że Rebeka obiecała spędzić tę noc u matki.

- Świetnie. Może jutro? - zapytał, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała rozpacz, którą czuł w tej chwili.

- Jutro? Zadzwońię do pana, profesorze i dam znać.

- Zgoda - odrzekł Raleigh i skinął głową, gdy Rebeka z wdziękiem zaczęła żegnać zgromadzonych i dziękować gospodarzowi przyjęcia za gościnę.

Kiedy przechodziła obok Hanlona, uśmiechnęła się tylko i rzuciła spojrzenie, które miało znaczyć: „ostrzegałam”. Pojawiała się i znikwała w tłumie gości jak bożonarodzeniowy sen.

Zaczekaj! Powiedz, o której wrócisz jutro do domu, chciał zawołać Raleigh. Ale w salonie wypełnionym setką gości było to po prostu niemożliwe.

- Przypomina mi Kopciuszka, tylko w bardziej stylowym wydaniu - zauważył dziekan i westchnął, widząc jak Rebeka wkłada płaszcz i znika za drzwiami. - Zamiast szklanego pantofelka zostawiła po sobie zapach perfum.

Raleigh wolno odwrócił głowę, by spojrzeć na Callahana. Pracował z nim prawie dziesięć lat, a dopiero dzisiaj odkrył w dziekanie romantyka.

Siwłosy mężczyzna pochylił głowę i przez kilka sekund patrzył na Hanlona.

- Za moich czasów, młody człowieku, natychmiast odchodziło się od bufetu, zabierało taką dziewczynę do oranżerii i zamykało za sobą drzwi.

Raleigh jeszcze raz rzucił okiem w stronę wyjścia. Starszy pan miał rację. Przez ostatnie pół godziny powinni byli siedzieć tam z Rebeką, słuchając szelestu tafty i jęków rozkoszy. Na co komu doktorski stopień, jeśli nie potrafi wpadać na tak rozsądne pomysły. Profesor Hanlon wbił ręce w kieszenie i westchnął z rozczarowaniem.

Rebeka pomachała Raleighowi na powitanie, gdy parkował samochód obok starego magazynu.

- Przyjechałem natychmiast, jak tylko otrzymałem od ciebie wiadomość - powiedział. - Nic ci nie jest?

Rebeka potrząsnęła głową.

- Chyba nie próbowałeś przeskoczyć rzeki dzięki tej linie? - spytał, rzucając okiem na jej długą, sztruksową spódnicę.

Rebeka wykonała uspokajający gest, gdy zbliżył się do jej auta.

- W porządku- Dlaczego więc chciałaś się tu ze mną spotkać dziś po południu? To miejsce wygląda jeszcze bar-

dziej niebezpiecznie niż wtedy, gdy widziałem je ostatnio. Wolałbym, żebyś nie spacerowała tu sama. Zaczekaj i pomyśl...

- Ja też za tobą tęsniłam - przerwała Rebeka, zarzuciła mu na szyję ręce w czerwonych rękawiczkach i pocałowała go.

Zapamiętali się w pocałunku, gdy nagle z dachu magazynu zerwało się stado gołębi i z hałasem poszybowało w przestworza.

- Czemu tu jesteście, Rebeko?

- Pytasz, dlaczego zaprosiłam cię na swój brzeg rzeki?

- spytała, odsuwając się na kilka kroków i spoglądając na magazyn. - Za każdym razem, ilekroć wspominałam o moim projekcie przebudowy tego miejsca, radziłeś, bym to dobrze przemyślała. Wiem, że chcesz tylko mojego dobra, lecz doszłam do wniosku, iż nadszedł czas, byś zobaczył tutejsze otoczenie moimi oczami. Postaraj się wyobrazić sobie, co chcę tu stworzyć.

Wzięła Raleigha za rękę i poprowadziła wśród szczątków starych maszyn i beczek po smarach do wejścia budynku.

- Tam jest posiadłość Macleodów. - Wskazała drugi brzeg rzeki. - i dopóki jej nie sprzedadzą, mamy zapewniony piękny widok na zalesioną przestrzeń. Jak ci się podoba?

- spytała, spoglądając na Raleigha. Wiatr rozwiewał jej płaszcz i ukazywał zakrywającą kolana spódnicę.

Raleigh rozejrzał się dookoła.

- Dosyć - przyznał.

- Poczekaj, aż zobaczysz wewnątrz.

- Rebeko... - zaczął, spoglądając na tabliczkę z napisem „Przeście wzbronione”.

- Przez minutę udawaj, że tego nie widziałeś... - poprosiła, prowadząc go do drzwi magazynu.

Raleigh oczekiwał ciemnego, ponurego pomieszczenia, tymczasem znalazł się w jasnym, zalanym słońcem wnętrzu, do którego światło wpadało przez górne okna. Sklepienie podtrzymywały tu solidne dźwigary, wyrastające z cementowej podłogi. Raleigh pokiwał głową.

- Tak... to duża powierzchnia.

Rebeka rzuciła mu figlarne spojrzenie.

- Przecież wiesz, że lubię wszystko, co duże - powiedziała.

- Zauważyłem twoją słabość do sporych rozmiarów.

Rebeka porzuciła żartobliwy ton i ciągnęła z powagą:

- Wyobraź sobie szklany fronton budynku, a to miejsce, w którym się znajdujemy, jako olbrzymie atrium. Dwa piętra, przeznaczone na pomieszczenia biurowe, będą zwrócone ku atrium i z widokiem na rzekę.

Raleigh słuchał wyjaśnień Rebeki na temat materiałów budowlanych, terminów dostaw i zamierzeń dotyczących usytuowania jej własnego biura. Jak zawsze jej entuzjizm okazał się zaraźliwy. Gdy rozejrzał się po całym wnętrzu, przyznał w duchu, że musi zmienić zdanie na temat tego miejsca. Rebeka roztaczała przed nim wizje najróżniejszych możliwości, jakie otwierały się w związku z wykorzystaniem całej przestrzeni. Wykazywała przy tym niezwykłą inwencję, poczucie humoru, oryginalność i właściwy sobie czar.

Nagle Raleigh przestał jej słuchać i pomyślał o tym, co tak naprawdę ich łączy. Tygodniami powtarzał w myślach, że Rebeka to przyjemna niespodzianka, siła odnawiająca jego

życie, jedyna osoba, która potrafi dotrzeć do drzemiących w nim pokładów namiętności. Teraz okazało się, że nawet w połowie nie wiedział, ile w sobie kryła. Uświadomił sobie, że po prostu zakochał się w tej dziewczynie.

- Masz rację - przyznał, wpatrzony w tylną ścianę budynku. - Oglądałem to miejsce dosyć dawno, na krótko przed wypadkiem, który się tu zdarzył. Dzięki tobie widzę je teraz zupełnie inaczej.

- Cieszę się, że tak mówisz. Chciałam przekonać cię do zalet magazynu i był to jeden z powodów, dla których prosiłam, byś tu przyjechał.

- Jeden z powodów? - powtórzył zdziwiony i odwrócił się ku Rebecce.

Ona zaś uśmiechała się ciepło, ukazując zawieszony na palcu damskie figi.

- Wiem, że pomysł jest... niekonwencjonalny, ale sam zauważyłeś ostatniego wieczoru, że w moim słowniku nie znajdziesz takiego pojęcia.

Raleigh rozejrzał się po hali, rzucił okiem na majteczki, w końcu spojrzął na Rebece.

- Mówisz o pomysle rekonstrukcji tego wnętrza czy sugerujesz...?

Uśmiechnęła się znowu i pomachała figami. Nie było wątpliwości, co miała na myśli. Raleigh popatrzył na drzwi, czując, że ogarnia go pożądanie.

- Tutaj? - zapytał. - Kochanie, nie znam...

Rebeka owinęła sobie krawat Hanlona wokół dłoni i pociągnęła go ku wysokiej drewnianej platformie.

- Bez ryzyka nie ma chwały - oznajmiła. - Tu będzie świetnie.

- Każdy może tu wejść - zaproponował, odbierając Rebecę majteczki i chowając je do kieszeni.

- To podniecające, prawda? - Wydobyła z kieszeni pakiet z prezerwatywą.

- W pewnym sensie - zgodził się Raleigh.

Posadził Reбекę na platformie i pocałował.

- Podniecasz mnie nawet uśmiechem.

- Uwielbiam, gdy decydujesz się wreszcie na działanie.

- Odłożyła na bok prezerwatywę i zdjęła płaszcz. - Masz wypisane na twarzy: „Nic mnie nie powstrzyma”.

- Ty również - powiedział, a potem zaczął rozpinać jej bluzkę.

- Nagłe decyzje są najlepsze - dodała Rebeka, ściągając rękawiczki, by zarzucić mu ręce na szyję.

- Najlepsze - przyznał Raleigh i zaczął całować gorąco szyję Rebeki.

Naprawdę nie nosiła bielizny. Jej piersi były ciepłe i miękkie jak jedwab. Raleigh zapragnął rozgrzać je jeszcze bardziej.

Rebeka także o tym marzyła. Zanurzyła palce we włosach Raleigha i zaczęła wargami pieścić jego ucho.

- Tak cię pragnę. Pospiesz się,

Kochanie się z tą dziewczyną zawsze miało w sobie coś z przygody, ale nigdy jeszcze nie odbywało się w tak nieprawdopodobnym miejscu. Podniecała go do nieprzytomności.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Nie widzisz? Proszę, Raleigh, zrób to.

- Wiesz, że nie potrafię ci odmówić.

Raleigh sięgnął po prezerwatywę.

- Unieś spódnicę - powiedział i zatrzymał się przez chwili-

lę, wpatrzony w ciemny trójkąt na podbrzuszu. - Wyżej - zażądał, rozpinając spodnie. - Jeszcze trochę. O, tak!

Nikogo dotąd nie pragnął tak bardzo jak Rebeki. Wsunął się między jej nogi, a potem zaczął poruszać się rytmicznie.

- Tego chciałaś?

- Tak - krzyknęła, odrzucając głowę do tyłu.

Razem osiągnęli szczyt i połączyli się w ekstazie.

R OZDZIA Ł DZIEWIĄTY

- Mogę to zdjąć? - spytała Rebeka.

Opaska, którą Raleigh przysłonił jej oczy, dobrze spełniła zadanie. Rebeka niczego nie widziała.

- Jeszcze nie - usłyszała gdzieś z dołu.

- Obiecałam mamie, że będę u niej o wpół do ósmej - oznajmiła Rebeka. - Moi siostrzeńcy nie wytrzymają dłuższego oczekiwania na prezenty. Zdejmę opaskę, dobrze? - niecierpliwiła się.

- Jeszcze chwileczkę.

Sądząc po głosie Raleigha i innych dźwiękach, które docierały do jej uszu, Hanlon robił coś na podłodze. Rebeka położyła ręce na kolanach -choć jej zniecierpliwienie sięgało zenitu.

Zdażyłam zapomnieć, jak wyczerpująca może być opieka nad małymi chłopcami. Wczoraj zagrozili, że rozbiją obóz na dachu, by pomóc Świętemu Mikołajowi znaleźć właściwy komin. Raleigh, kiedy kończysz?

- Jesteś najbardziej niecierpliwą osobą, jaką znam.

- A czego oczekiwałeś? Przeprowadziłeś mnie z zawiązanymi oczami do biblioteki za piętnaście szósta rano, więc obudziła się we mnie ciekawość pięciolatki.

- Pięciolatki? Mówiłaś, że miałaś sześć.

- O co ci chodzi? — spytała, dotykając opaski.

Zanim odpowiedział, usłyszała cichy elektryczny brzęczyk i kliknięcie. Nabrała powietrza w płuca, bez oczami wyobraźni widziała tylko jedną rzecz, która mogła wydać takie dźwięki. Serce waliło jej jak młotem, gdy zacisnęła ręce w pięści.

- Och, to niemożliwe...

- Odsłoń oczy - powiedział.

Zerwała opaskę i rzuciła ją na kolana, a potem krzyknęła z zachwytu na widok elektrycznej kolejki. Mała lokomotywa wypuściła obłoczek pary, pociąg toczył się przez tunel w kierunku choinki i jechał dalej przez miniaturowe miasto, zbliżając się do Rebeki.

- To wszystko naprawdę dla mnie? - zawołała, przyciskając ręce do policzków.

- Naprawdę - potwierdził.

- Och, Raleigh, dziękuję ci!

- Popatrz na to - zaproponował, wskazując, jak zapalają się czerwone światła; opada szlaban i lokomotywa zwalnia z gwizdem.

Gdy pociąg zbliżył się do przejazdu, Raleigh zatrzymał zabawkę.

- Pani czapka, dróżniczko - rzekł, podając Rebecę odpowiednie nakrycie głowy. - Sądzę, że jest pani gotowa do pracy.

- No popatrz, może i tobie Święty Mikołaj przyniesie taki zestaw - powiedziała, nakładając kolejarską czapkę.

Potem opadła na czworaka i rozsiadła się między nogami Raleigha.

- Lubię, kiedy tak się poruszasz - stwierdził, a kiedy zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała, dodał: - To też lubię.

Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę, potem przeniosła wzrok na kolejkę i powiedziała:

- Myślę, że w końcu to osiągnąłeś.

- Co takiego?

- Wprowadziłeś mnie w zakłopotanie swoją doskonałością - przyznała i łzy zalśniły jej w oczach.

- Mam nadzieję. Jest szósta rano, a ja wstałem godzinę wcześniej, by to wszystko przygotować. Chyba nie masz zamiaru płakać?

- Czemu nie? - odrzekła, ocierając oczy ręką szlafroka. - Mam własną kolejkę, lecz ciągle jestem dziewczyną.

Raleigh otoczył ją ramionami.

- Masz rację. Ciągle jesteś dziewczyną. Ale muszę wyznać, że omal nie zrezygnowałem z kupienia ci tego prezentu.

- Dlaczego? - spytała, śmiejąc się przez łzy. - Czy byłam aż tak niegrzeczna?

-r- Bóg wie, że byłaś, ale sam miałem tyle radości ze skłaniającej ci się kolejką, iż zamierzałem zatrzymać ją dla siebie i pozwalać ci tylko się nią bawić. Przypomniałem sobie jednak, że w dzieciństwie miewałaś jakieś kłopoty ze wspólnym użytkowaniem zabawek - zażartował, gdy Rebeka znowu wprawiła w ruch pociąg.

Po kilku rundach zatrzymała lokomotywę przed małą farmą.

- Jeśli jesteś taki dobry, to wytłumacz mi, dlaczego cztery dalmatyńczyki pasią się na mojej łące?

- Bo w sklepie z zabawkami zabrakło krów. Czy wszystko musisz zauważyć?

Nie spuszczać oczu z kolejką, Rebeka umieściła dalmatyńczyki w zagrodzie dla bydła i położyła dłonie na pulpicie

sterowniczym. Włączyła silnik lokomotywy od razu na najwyższe obroty. Pozwoliła kolejce zrobić kilka rund po okrągłym torze, a potem z perfekcją zatrzymała wagoniki na stacji. Podniosła ręce i zaanonsowała:

- Wszyscy dojechali żywi.

- Jesteś pewna?— spytał Raleigh, który z zainteresowaniem obserwował całą zabawę.

- Tak. Nie ma w pobliżu punktu opatrunkowego, ale mogę cię zbadać, w każdym razie... wówczas, kiedy już rozpakujesz swoje prezenty. Co zrobiłeś z paczkami, które położyłam pod choinką?

- Są tutaj - odrzekł Raleigh.

- Obawiam się, że po emocjach, których mi dostarczyłeś, otwieranie twoich prezentów nie będzie równie ekscytujące, ale rozpakuj je - zaproponowała, podsuwając mu pierwszą paczkę.

- Będę udawał zachwyty - obiecał, wydobywając prezent z opakowania. „Zdobycie Peru” Prescott! - zawołał i sprawdził datę edycji. - Gdzie zdobyłaś takie stare wydanie?

- W księgarni na Greenwich Village. Powiedzieli, że została wydrukowana na przełomie wieków - odparła z uśmiechem, widząc, z jakim nabożeństwem Raleigh dotyka oprawy w skórę grzbietu. Potem go pocałowała.

- Pamiętałaś rozmowę, którą odbyliśmy w dniu mojego przyjęcia - powiedział. Wyraźnie był lekko oszołomiony.

- Raleigh, pamiętam każde twoje słowo - przyznała, przesuwając palcem po wargach mężczyzny.

Profesor Hanlon odłożył książkę, zdjął kolejarzką czapkę z głowy Rebeki, wsunął palce w jej włosy i pieścił twarz dziewczyny ciepłym spojrzeniem.

- Nieustannie mnie zadziwiasz - powiedział głosem ochrypłym ze wzruszenia.

- A ty jesteś najmilszym prezentem gwiazdkowym, jaki kiedykolwiek dostałam.

- Chodź tutaj - zawołał, biorąc ją w ramiona.

Rebeka pieszczotliwym ruchem przytuliła policzek do ramienia Raleigha. Czy mogła dłużej wątpić w jego uczucia do niej? Był najbardziej kochającym i opiekuńczym mężczyzną, jakiego znała.

- Wesołych świąt, panie Hanlon - szepnęła, pragnąc, by ta chwila trwała wiecznie.

Roześmiał się cicho i odwzajemnił życzenia.

- Wesołych świąt, panno Barnett.

Oboje powitali jękiem dźwięk telefonu. Raleigh uwolnił Rebekę z objęć, spojrział na zegarek i podszedł do biurka.

- Dziwny czas na rozmowy - mruknął, sięgając po słuchawkę. - Może nie powinnaś być aż tak niegrzeczna, jak byłaś? Widać Święty Mikołaj chce ci odebrać kolejkę - zażartował.

Rebeka rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała.

Raleigh podniósł słuchawkę i zaczął od złożenia życzeń; Kilka sekund później wyraz rozbawienia zniknął mu z twarzy.

Przesunął ręką po włosach i odwrócił wzrok od Rebeki.

- W którym szpitalu...? Upokój się, Celio... Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. Tak, oczywiście, dobrze zrobiłaś, że do mnie zadzwoniłaś. Zaraz przyjadę.

Rebeka zerwała się na równe nogi i podeszła do Raleigha.

- Co się stało? - zapytała.

- Penny - rzucił. - Miała jakiś wypadek. Jej matka nie zna szczegółów.

- Raleigh, tak mi przykro - szepnęła, gdy Hanlon obejmował ją ramieniem.

Przejęła się bólem widniejącym w jego oczach. Po chwili Raleigh uśmiechnął się słabo, widząc niepokój Rebeki.

- Czy jest poważnie ranna? - spytała.

Gdy nie odpowiedział, przeraziła się jeszcze bardziej.

- Raleigh, co mówi lekarz?

- Jest teraz u niej. Powiedziałem Celii, że zaraz przyjadę. Rebeko...

- Jadę z tobą.

- To nie jest konieczne. - Postarał się, by jego głos zabrzmiał spokojnie. - Wszystko będzie dobrze. Musisz jechać do matki...

- Raleigh, pojedę z tobą. - Pomyślała, że Raleigh mógł się przerazić słyszalnym w jej głosie niepokojem, więc dodała: - Oczywiście jestem pewna, że Penny wyjdzie z tego. Zawiozę cię do szpitala.

- Nie - odparł stanowczym tonem. - Prawdopodobnie nie ma powodu do paniki. Jestem ubrany. Pojadę od razu, a ty możesz też tam przyjechać, gdy będziesz gotowa. W ten sposób dowiemy się, czy z Penny wszystko w porządku, a ty spędzisz z rodziną świąteczny poranek. Tak będzie najlepiej - zapewnił i pocałował ją w czoło.

Kiedy Rebeka odnalazła go w szpitalnej poczekalni, wyciągnął ramiona na jej powitanie. Jego pełne wdzięczności spojrzenie rozczuliło Rebeke do łez.

- Jak ona się czuje?

- Nie wiem. Nie wpuścili mnie. Do licha, jestem przecież jej wujem. - Popatrzył w stronę pokoju pielęgniarek.

- Dowiedziałeś się, co się stało?

- Nie znam całej historii. - Wzruszył ramionami. - Zdaje się, że gdzieś się wspinała i spadła. Policjaczadzwoniła do jej matki kilka godzin temu. Ta mała jest tak podobna do Buddy'ego, że aż mnie przeraża.

Rebeka zdjęła płaszcz i przysiadła obok Raleigha na kanapie.

- Nigdy mi o nim nie opowiadałaś - zauważyła, pragnąc odciągnąć myśli Raleigha od Penny. - Jaki był twój brat?

Raleigh rozmyślał przez chwilę, roześmiał się cicho i potrząsnął głową.

- Był zabawny. Ty też mi go przypominasz. W każdym razie przypominałaś, gdy byłaś młodsza. Zawsze się uśmiechał. Uwielbiał robić dowcipy, lubił też samemu być ich obiektem. Przepadał za tym aż za bardzo. Nie wiedział, kiedy przestać. - Raleigh wziął głęboki oddech. - Penny ma podobny charakter. Dlatego tak jej pilnuję. Jeśli coś się stanie... Co ja mówię? Przecież właśnie się stało.

- Nie możesz się za to obwiniać. Nie przez ciebie spadła, podobnie jak nie z twojej winy zginął Buddy.

Raleigh przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Rebekę, jakby chciał jej coś wyznać, lecz nie mógł się na to zdobyć. Przez głowę dziewczyny przebiegły różne myśli.

- O czym nie chcesz mi powiedzieć? - spytała w końcu.

- Rebeko, ja... - zaczął, lecz otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza.

- Celio! Co z nią?

W drzwiach ukazała się kobieta bardzo podobna do Penny,

tylko starsza. Przyzwała Raleigha ruchem ręki. Hanlon podał się z miejsca i poszedł za bratową.

Rebeka została sama na najdłuższe piętnaście minut w życiu. Bezskutecznie starała się dowiedzieć od pielęgniarek czegoś na temat stanu Penny. Nic pozostawało jej nic innego, jak czekać na powrót Raleigha. Siedząc w poczekalni, wymyślała coraz bardziej nieprawdopodobne wersje tego zdarzenia. Penny była córką Raleigha. Raleigh spowodował śmierć brata. A może Buddy gdzieś żyje i tylko Hanlon o tym wie? Pokręciła głową. Przecież to nie telewizyjna mydlana opera. Takie spekulacje prowadzą w ślepy zaułek. Ale, do licha, Raleigh mógł jej wcześniej o wszystkim powiedzieć. Go prawda, był już niemal gotów do wyznań, lecz...

Uniosła wzrok, bo właśnie otworzyły się drzwi. Raleigh wyszedł z pokoju. Miał surowy wyraz twarzy i pochmurne spojrzenie.

- Wszystko w porządku? — spytała Rebeka.

- Ma złamaną kość barkową. Lekarze muszą zdecydować, czy potrzebna będzie operacja.

- Ale wydobrzeje, prawda?

Raleigh zacisnął szczęki.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się Rebeka. - Dlaczego nic nie mówisz?

- Mogła sobie skrócić kark. - Spojrzał na Rebekę pełnym gniewu wzrokiem. - Razem z grupą przyjaciół ze szkoły postanowiła wspiąć się na wieżę ciśnień w Daleville i wypisać na jej szczycie sprayem wiadomość dla wychowawczynie klasy. Kiedy schodziła, pośliznęła się i spadła. Pół godziny leżała na ziemi.

- Tak mi przykro. - Rebeka wyciągnęła rękę do Raleigha.

- Jest coś jeszcze - ciągnął, ignorując przyjazny gest Rebecki. - Penny przyznała, że to dzięki tobie wpadła na ten pomysł. Podobno mówiłaś, że dokonałaś czegoś podobnego, będąc w jej wieku.

- Och, nie - zawołała Rebeka i zakryła twarz rękami. - Nie sądziłam...

- Właśnie o to chodzi. Nie pomyślałaś, Rebeko. Zostawiłem was same na pięć minut, a ty od razu zdążyłaś opowiedzieć Penny taką historię. Nie zastanowiłaś się, jak ona zareaguje. Mogła się zabić.

Uderzył ręką w ścianę.

- Jak Buddy - dorzucił.

- Przepraszam - szepnęła Rebeką, odejmując drżące dłonie od policzków.

- Nie przyszło ci do głowy, że skoro taka nastolatka traktuje cię jak wzór do naśladowania, powinnaś zachowywać się bardziej odpowiedzialnie? - Raleigh pokręcił głową z niechęcią. - To się nigdy nie zmieni - podsumował.

Ostatnie słowa jak sztylet wbiły się w serce Rebecki. A więc sądził, że ona się nigdy nie zmieni, W jego oczach ciągle była szaloną nastolatką, która w przeszłości i teraz potrafiła jedynie sprawiać kłopoty. Być może pozbyła się nastroszonej fryzury i skórzanej kurtki, lecz pozostała tą samą nieodpowiedzialną Reb Baniett, Tylko że tym razem ktoś, kogo ona kochała, o mały włos przez nią nie zginął.

Nie było sensu rozmawiać z Raleighem, a nawet gdyby był sens, Rebeka nie czuła się na siłach, by temu sprostać. Zakręciło się jej w głowie. Rozejrzała się dokoła zdumiona, że ściany i meble w poczekalni stoją nieporuszone, rybki nadal pływają w akwarium, a pielęgniarki robią coś w swoim po-

mieszczeniu. Przez głośnik wzywano lekarza na ortopedię. Nikt nie zauważył, że świat, który Rebeka uważała za znajomy i przyjazny, właśnie się zawalił.

- Pójdę już - odezwała się i ruszyła do wyjścia. - Czy możesz powiedzieć matce Penny... - zaczęła, lecz na widok bólu, który malował się w zaczerwienionych oczach Raleigha, rzuciła tylko: - Nieważne - i wyszła na zewnątrz.

Reszta świąt upłynęła Rebecce w pochmurnym nastroju. Nawet igraszki małych siostrzeńców nie były w stanie odebrać jej myśli od Raleigha i Penny. Kilkakrotnie dzwoniła do szpitala, by upewnić się ostatecznie, że pacjentka nie będzie poddana operacji. Odczuła ulgę, była jednak psychicznie wyczerpaną. Jakoś przetrwała kolację, a potem powiedziała rodzinie, że nie czuje się dobrze, i wróciła do małego mieszkania nad garażem Raleigha.

Siedziała w oszołomieniu z poczuciem winy kogoś, kto spowodował wypadek, i czekała na pukanie do drzwi, choć w głębi serca czuła, że to nie nastąpi.

Czy Raleigh miał rację? Czy naprawdę postąpiła nierozsądnie, opowiadając Penny o swoich wyczynach z czasów szkolnych? A jeśli tak, to czy myliła się również w innych sprawach?

Włożyła płaszcz i wyszła, by popatrzeć na dom Hanlona. W całym jej związku z tym człowiekiem było coś tajemniczego. Czemu Raleigh nie powiedział jej więcej o bracie? O sobie? W czym tkwił sekret?

Chuchnęła w ręce, by je ogrzać. Niezależnie od tego, jak cudowne chwile spędzili ze sobą, Raleigh zachował pełną dyskrecję na temat swojego życia. Więcej dowiedziała się o Buddym od Megan niż od niego.

Zawróciła powoli w stronę domu. Pomyślała, że Raleigh przywiązał ją do siebie, lecz sam zachował dystans. W mieszkaniu rzuciła płaszcz na krzesło, otarła nieposłuszną łzę, która niechcący spłynęła jej po policzku, i opadła na kanapę. Wszystko układało się dobrze, gdy poddawali się namiętności, ale Hanlon ani razu nie pokazał się z nią publicznie.

Można by pomyśleć, że z każdą kobietą postępowałyby podobnie. Widać po tak długim okresie samotności niełatwo rnu było wtajemniczać kogokolwiek w sprawy rodzinne. Ale Rebeka nie była głupia. Zdawała sobie sprawę, że Raleigh wprowadził ścisły rozdział życia osobistego od sfery towarzyskiej i zawodowej. Nie tylko nigdy nie zmienił zdania na temat swojej byłej uczennicy, ale też wstydził się przyznać przyjaciółom do łączącej ich zażyłości.

Rebeka czekała na przypływ gniewu, który powinien był nastąpić po tych upokarzających wnioskach, jakie wyciągnęła, lecz na próżno. Czuła się jedynie zraniona. Przecież wydorosłała, stała się odpowiedzialną osobą; To Raleigh Hanlon się nie zmienił i ciągle uważał ją za niespokojną duchem, kłopotliwą nastolatkę.

Peiffy, siedziała na szpitalnym łóżku, bawiąc się pilotem od telewizora, gdy do pokoju weszła Rebeka.

- Cześć! - zawołała bratanica Raleigha na widok gościa.

- Witaj, młoda damo - rzekła panna Barnett i obok podręcznika leżącego na łóżku położyła stos kolorowych czasopism. - Przejrzysz sobie w przerwie od nauki - powiedziała z uśmiechem.

- Dzięki.

Penny wyłączyła telewizor.

- Okropne rzeczy pokazują - zauważyła Rebeka, - Jak się czujesz?

- Będę żyła, lecz najgorsze ciągle przędę mną. Po wysianiu mnie do domu ma przyjść wujek Raleigh i wygłosić wykład na temat mojego życia.

Rebeka skinęła głową.

- Przynajmniej z tobą rozmawia.

- A ciębie obarcza, winą za mój wypadek, prawda? Jakie to głupie. Nie przejmuj się. Mama mówi, że za młodu sam nie był aniołem.

Rebeką uniosła brwi, słysząc ostatnią słowa Penny, ale postanowiła o nic nie pytać. Co prawda, Raleigh wspomina kiedyś o głupich wybrykach w okresie wczesnej młodości, lecz nie bardzo mu wierzyła, Teraz najważniejsze było to, że

Penny czuła się nieźle.

- Nie rozumiem. Samą sobie jestem winna, a wy, dorośli, koniecznie chcecie dzielić ze mną odpowiedzialność za wypadek. Mama obwinia się, że nie przychodziła co godzina do mego pokoju, by sprawdzać, czy śpię, tak jak to czyniła, gdy byłam dzieckiem. Ty czujesz się winna, bo opowiedziałaś mi fajną historię, a wujek chce nosić czterogwiazdkową koronę z napisem „jestem winny”, bo nie był przy mnie w odpowiedniej chwili, tak jak nie było go przy moim ojcu. Wy, dorośli, naprawdę jesteście niemożliwi.

Rebeka uśmiechnęła się lekko, lecz natychmiast się spięła, gdy Penny wspomniała o Raleighu. Kręcąc w palcach pukiel włosów, pochyliła się ku Penny i zapytała:

- Jak myślisz, o czym myślał wujek, gdy twierdził, że to jego wina, iż zabrakło go przy twoim ojcu?

- Nie wiem. Ciągłe powtarza takie rzeczy - odparła Penny, wzruszając ramionami.

Dotknęła fioletowego siniaka na czole i zajęczała.

- Nic ci nie jest? - spytała Rebeka.

Podniosła się z krzesła i zbliżyła do łóżka Penny.

- Mam wezwać pielęgniarkę?

- Nie. - Penny niecierpliwie machnęła ręką. - Chciałabym wiedzieć, czemu dorośli spędzają tyle czasu na roztrząsaniu tego, co zrobili, a czego nie zrobili w młodości i dlaczego nas w to wciągają?

Rebeka powoli usiadła.

- 2 miłości - odparła cicho i uświadomiła sobie, że fragmenty całej historii zaczynają się jej układać w nową całość.

Czyżby to była prawda?

- Lecz jeśli coś się skończyło to się skończyło, prawda? Nie możesz cofnąć czasu i naprawić tego, co zdarzyło się w przeszłości - ciągnęła Penny.

- To się nie skończyło - odrzekła Rebeka. - Słuchaj, chciałabym zostać dłużej z tobą porozmawiać. Wrócę, lecz najpierw muszę załatwić coś niecierpiącego zwłoki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy Raleigh nie odpowiadał na dzwonek, Rebeka nie wahała się dłużej i użyła kluczy, które od niego dostała. Weszła do holu, zatrzymała się przy schodach prowadzących na górę i zawołała Hanlona po imieniu. W domu panowała cisza, więc Rebeka postanowiła poczekać. Zdjęła płaszcz i skierowała się do biblioteki. Nawet ryzykując spóźnienie na odbywający się dzisiaj zjazd koleżeński, postanowiła zostać, by sprawdzić zasadność swoich przypuszczeń.

Rzuciła okrycie na kanapę w bibliotece i rozejrzała się po pokoju. Choinka z wygaszonymi światełkami prezentowała się smutno. Rebeka podeszła do drzewka i położyła ręce na zagłówku stojącego obok fotela, na którym Raleigh zwykł był opierać głowę. Ileż to razy w ciągu ostatniego miesiąca wchodziła tutaj i zastawała go zatopionego w lekturze rękopisu lub pracy studenta, ile razy siadała mu na kolana, by mogli się pieścić.

- Za często? - szepnęła do siebie i przeniosła wzrok na węgle żarzące się w kominku.

Utwierdzając się w postanowieniu, by tu zostać i szukać odpowiedzi na swoje pytania, zaczęła spacerować po pokoju. Raleigh powinien wkrótce wrócić. Zostawił nie wygaszony kominek, a wrodzona ostrożność nie pozwoliłaby mu na to, gdyby planował dłuższą nieobecność.

Rebeka wędrowała wzdłuż półek wypełnionych książkami i uśmiechała się na myśl o tym, jak bardzo onieśmielało ją kiedyś to wnętrze. Wolała stać za progiem i czekać na zaproszenie Raleigha, zanim tu weszła. Potrząsnęła głową, pochyliła się nad kominkiem i ostrożnie dorzuciła kilka polan. Gdy odwróciła się, by ogrzać plecy, jej wzrok padł na otwarty album. Zobaczyła zdjęcie Raleigha z jakimś nastolatkiem. W chwilę później siedziała na kanapie z ciężką księgą na kolanach.

- Musiał tego szukać - mruknęła, przeglądając fotografie.

Strony wypełniały zdjęcia i artykuły dotyczące Buddy'ego. Skoncentrowała się na jednym z nich, który szczegółowo opisywał okoliczności śmierci chłopaka.

Ręce jej drżały, gdy zamykała album i odkładała go na bok. Kilka minut później usłyszała, jak Raleigh wchodzi do kuchni. Znała zwyczaj gospodarza domu jak swoje własne. W każdej chwili mógł pojawić się w bibliotece ze szklaneczką whisky w jednej i okularami w drugiej ręce. Wtedy można będzie mu zadać kilka pytań. Nie mam innego wyjścia, pomyślała.

- Najwyraźniej dziwi cię moja obecność - rzekła, gdy wszedł do biblioteki. - Myślałeś, że tak po prostu odejdę?

Otworzył usta, lecz zaraz zacisnął je tak, że utworzyły surową, wąską Unię.

- To nie jest dobry pomysł, Rebeko - powiedział i odwrócił się, jakby chciał wyjść z pokoju.

- Czekaj. Nie pozwolę, byś znowu zamknął się w kokonie z tweedu i stali.

Raleigh odstawił szklanekę z alkoholem, schował okulary do kieszeni i spojrzał na Rebeke.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jestem pewna, że wiesz. Już dwadzieścia lat temu przyłepiłeś sobie etykietę trzymającego się na uboczu, pograżonego w myślach profesora.

Raleigh zawahał się przez moment.

- O czym chcesz ze mną rozmawiać? - spytał cicho.

- O nocy, podczas której zginął twój brat - powiedziała.

Raleigh popatrzył na nią ze zdumieniem.

Rebeka wzięła do ręki album i podsunęła mu go przed oczy.

- Co... gdzie ty...? - wyjąkał.

- Sądzisz, że go zabiłeś, prawda?

- Nie rób tego. - Próbował wyjąć jej z rąk księgę, ale mu się nie udało.

- Nie masz zamiaru niczego mi ułatwić, prawda? - spytał, potrząsając głową.

- Nigdy nie osiągałam swoich celów łatwym sposobem, więc nie sądz, że teraz zacznę. Powiedz, co się wtedy stało..

- Umarł mój brat - wyrzucił z siebie szybko Raleigh.

- I?

- I co? Chcesz znać szczegóły? - spytał podniesionym głosem. - W porządku. Pewnego wieczora po meczu futbolowym Buddy wypił sporo piwa z przyjaciółmi, a potem uznał, że byłoby fajnie przespacerować się po poręczy mostu niedaleko Daleville. - Raleigh odwrócił wzrok, lecz ciągnął dalej: - Zdażyłem na czas, by zobaczyć, jak spadał.

- Wyczytałam, że chwycił za jeden ze wsporników i ciąglejście się go trzymał, kiedy chciałeś mu pomóc.

- Do czego to ma prowadzić?

Nie bacząc na to pytanie, Rebeka mówiła dalej:

- Piszą, że ryzykując życie, próbowałeś go wciągnąć na górę. Kiedy pozostali trzymali cię, byś nie poszedł w ślady Buddy'ego, on nagle spadł.

- Czemu to robisz? - spytał Raleigh, przysuwając się ku Rebecce. - Mój brat umarł dziewiętnaście lat temu.

Rebeka zamknęła album i odłożyła go na półkę.

- I ty też - odparła.

~ Był moim bratem. Mam prawo...

- Prawo? Do czego? By do śmierci dźwigać poczucie winy jak kamień nagrobny z mogiły Buddy'ego? Raleigh, przecież nie namawiałeś go do chodzenia po tej poręczy. Nie wlewałeś mu piwa do gardła. Dlaczego nie przestajesz sobie wmawiać, że zawiniłeś? Czemu nie możesz tego zrobić?

- Ponieważ to ja kupiłem wtedy piwo. - Raleigh zacisnął wargi i odwrócił się od Rebeki.

Miał jej wyznać wszystko, co trzymał w tajemnicy od niemal dwudziestu lat? To, czego nikt nawet nie podejrzewał. Nikt o tym nie wiedział poza Buddym. Wcale nie było mu lepiej z tą świadomością. Roześmiał się gorzko. Nie czuł katarsis, o której marzył od tyłu lat, ani ulgi, którą miało nieść dzielenie z kimś bólu.

Kątem oka widział jasnoróżowy sweterek Rebeki. Zauważył, że dziewczyna patrzy w ogień na kominku. Gdyby tylko sobie na to pozwolił, z pewnością poruszyłaby go jej uroda i zaangażowanie, z jakim wszystko to przeżywała. Zesztywniał na samą myśl o tym.

- No i co? Jesteś zadowolona? - spytał ostro.

- Prosił cię, żebyś kupił to piwo?

Znając Rebekę, wiedział, że nie ustąpi, dopóki nie usłyszy odpowiedzi.

- Nie - odparł z westchnieniem — Byłem pełnoletni i kupiłem je na przyjęcie, które miało się odbyć wieczorem. Parę dni po wypadku zorientowałem się, że Buddy zabrał mi część puszek z bagażnika.

- Więc wiedział, że trzymasz je w samochodzie, i to był jego wybór. Podobnie jak sam zdecydował, by się upić i wdrapać na poręcz mostu - powiedziała Rebecka, świadomie akcentując słowa, podkreślając udział Buddy'ego w wypadku.

- To nie takie proste.

- Sądzę, że jednak tak.

- Nie byłaś tam. Nie wiesz, o czym mówisz. Nie znałaś go.

- Oczywiście nie znałam go tak jak ty, lecz ostatnią godzinę spędziłam nad tym albumem. Przeczytałam wszystko, co napisano o wypadku obejrzałam wasze zdjęcia z dzieciństwa. Na każdym Buddy wpatruje się w ciebie, jakbyś był dla niego bohaterem... chociaż nie należałaś chyba do aniołów.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem doskonały - odparł Raleigh, czując, że przestały mu sztywnieć mięśnie twarzy.

- Nic o tym nie wiem. Lecz ten fakt jest częścią całej historii, prawda? Myślisz, że gdybyś sam nie był takim rozrabiaką, Buddy nie próbowałby cię naśladować i nie zginąłby. Tak się narodził Bezlitosny Hanlon. Próbowałeś naprawić...

- Skończyłaś?

- Prawie. Słuchaj, nie chcę dowodzić, że Buddy był zły i ty również. Gdyby można było cofnąć czas, wszyscy pewnie postępowalibyśmy inaczej.

- Co ty wyrabiasz, u diabła? Co to za rozważania i kalkulacje?

Rebeka przysunęła się bliżej Raleigha i ciągnęła ze współczuciem w głosie:

- Wiem, że go kochałeś i nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżyłeś tamtej nocy, lecz czy nie nadszedł czas, by pochować Buddy'ego?

Raleigh przymknął oczy, uświadamiając sobie, że przez dziewiętnaście lat podobne myśli przewiercały mu mózg. Nie! Potrząsnął głową, odrzucając scenariusz, zaproponowany przez Rebeke.

- Pochować go? I co potem? Powiedzieć ci, że wszystko w porządku, że nie ma twojej winy w wypadku Penny? O to ci chodzi?

- Jeśli chcesz wiedzieć, zależy mi na Penny, ale nie jestem odpowiedzialna za to, co zrobiła. Dziewczyna ma swój rozum. Wiedziała, co robi, podobnie jak Buddy. Nie chcesz przyznać, że oboje działali na własny rachunek. Byli pełnoletni. Tacy ludzie mogą głosować, prowadzić samochody i dokonywać wyborów.

Rebeka przysunęła się jeszcze bliżej.

- Wszyscy dokonujemy jakichś wyborów, złych czy dobrych. Nie sądzisz?-spytała miękko. - To, co doprowadziło do śmierci fiuddy'ego, to był jego wybór, nie twój.

Już chciała wyciągnąć ręce do Raleigha, lecz zmieniła zdanie i splotła je na piersi.

- Raleigh, posłuchaj, teraz ty możesz wybierać - szepnęła z taką pasją w głosie, że aż spojrzął jej w oczy. - Pozbądź się poczucia winy; bo w niczym nie zawiniłeś.

Raleigh zdawał sobie sprawę, że słowa Rebeki brzmią przekonująco, mają sens, a mimo to nie mógł przestać myśleć o bracie. Jego twarz ciągle stawała mu przed oczami. Widział

przerażone oczy Buddy'ego i tamtą czarną wodę pod nim. Tym razem było jeszcze gorzej. Niemal czuł zapach rzeki i zimny pot na plecach. Woń strachu.

Zamknął oczy, próbując zmienić zakończenie. Wyobraził sobie, że Buddy wyciąga rękę, a pn wciąga go na most. Boże, gdyby odmienić przeszłość... Jeszcze parę centymentrów. Wyciągnę cię. Tylko chwyć mnie za rękę, Buddy! Buddy, chwyć mnie za rękę! Lecz brat jeszcze raz spadł do rzeki.

Raleigh potrząsnął głową, próbując pozbyć się koszmaru. Uczucie, którego doświadczył przed chwilą, było chyba najgorsze z tych, jakich zaznał w ciągu ostatnich lat, lecz sam pragnął się tak udręczyć.

Gdy otworzył oczy, Rebeka ciągle była w pokoju. Poczuł żal i ból. Nigdy nie będzie takim mężczyzną, jakiego pragnęła i potrzebowała, człowiekiem, na którego zasługiwała. Jak mógł sobie pozwolić na wmanewrowanie jej w związek, który musiał się skończyć złamaniem jej serca?

- Sądziś, iż jeśli wplątaliśmy się... w to, lepiej rozumiesz moje życie? Otóż nie. Nie możesz go pojąć, bo bardzo się różnimy. Nie potrafiłabyś prawdopodobnie...

- Wystarczy - powiedziała, unosząc głowę. - Nie musisz niczego dodawać.

Odwróciła się, by sięgnąć po płaszcz.

- Nie martw się, nie będę cię dłużej niepokoić. Moje gratulacje, Raleigh, wróciłeś do swojego świata - dodała i nałożyła płaszcz.

Sięgnęła do kieszeni po klucze od domu Raleigha i położyła je na stoliku przy kanapie.

- Jutro rano, zanim odejdę, wrzucę ci do skrzynki pocztowej klucze od mieszkania nad garażem - zapewniła.

Już miała wyjść, lecz zatrzymała się w holu i dorzuciła:

- Na zakończenie dodam, że nie wiem przypadkowych związków. W nic się z tobą nie wplątałam. Zły czy dobry, ale był to świadomy wybór.

Raleigh wstał i długo jeszcze po wyjściu Rebeki patrzył w drzwi. Co do jednego miała rację, pomyślał. Do niczego nie dochodziła łatwym sposobem. Ciągłe słyszał jej słowa, choć próbował je lekceważyć. Zbyt wiele zwaliło mu się teraz na głowę, by potrafił jasno myśleć.

Kiedy brał do ręki album, który Rebeka odłożyła na półkę, i wkładał okulary, wciąż targał nim niepokój. Zaczął przegłądać strony. Zapalił światło, przetarł szkła, lecz zdjęcia wydawały się ciągle nie dość wyraźne. Wspaniale, pomyślał. Hysteryczna ślepotą. Jeszcze tego mi było trzeba.

Spojrzał przez okulary na choinkę. Wzrok przyciągnęła bombka w kształcie jabłuszka ofiarowana przez Reбекę. Czerwono-zielone szkło lśniło w blasku ognia. Raleigh wrócił spojrzeniem do fotografii. Czemu nie spostrzegł tego wcześniej? Z biegiem czasu zdjęcia wyblakły.

Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Przełknął ślinę, lecz to nie pomogło. Co powiedziała Rebeka? Czy nie czas, by pochwalić brata?

Raleigh przestał patrzeć w album, zdjął okulary i przeniósł wzrok na drzwi. Tym razem widział wyraźnie. Czyżby po niemal dwudziestu latach wszystko miało skończyć się w tak prosty sposób? Może i tym razem, jak w wielu innych sprawach, Rebeka miała rację? Mógłby odmienić swoje życie? Potrafiłby oderwać się od tamtego mostu? Spojrzał na album, lecz zamiast przewrócić stronę, łagodnie go zamknął i położył dłoń na okładce. Rebeka Barnett, która

wniosła w jego życie miłość i radość, najwyraźniej się nie pomyliła.

- Już czas, Buddy - szepnął.

Piętnaście minut później stał pod drzwiami mieszkania Rebeki, czekając, aż odpowie na jego pukanie. Serce zabiło mu mocniej, gdy przez zasłonkę w oknie dostrzegł, jak dziewczyna przechodzi przez kuchnię i zbliża się do wejścia. Kiedy rozpoznała gościa, zatrzymała się gwałtownie. Raleigh wstrzymał oddech. Po chwili namysłu podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Jestem zajęta - powiedziała od progu.

Była w różowym szlafroku i turbanie z ręcznika na głowie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, powędrowała wzrokiem gdzieś ponad jego ramieniem i oznajmiła:

- Przypominam, że dziś jest mój zjazd koleżeński.

Oparła się o framugę drzwi i poprawiła kołnierz szlafroka, a potem spojrzała na swoje białe stopy.

- Przecież dlatego przyjechałam do Follett River.

- Wiem - odrzekł, choć przez wiele dni wcale tak nie myślał.

Podniósł wzrok na zaczerwienione od łez oczy dziewczyny i zaczął:

- Rebeko, przepraszam...

- Wiem, wiem - przerwała, kręcąc głową. - Nie będziesz mógł mi towarzyszyć. Oboje wiedzieliśmy jeszcze przed rozmową w bibliotece, że w ostatniej chwili przyjdiesz, by się z tego powodu usprawiedliwić.

Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz mu nie pozwoliła.

- Masz rację. Nie powinieneś przeżywać zakłopotania sytuacją, w której widziano cię z Reb Barnett. Parę osób wie, że się spotykaliśmy, lecz nie przejmuj się tym- To żaden dowód, iż wdałeś się w romans z nieodpowiednią dziewczyną. Nikt zresztą nie zażąda dowodów. - Zatrzasnęła drzwi, lecz po chwili je otworzyła. - A jeśli nawet ktoś zacznie o nas plotkować, nikt mu nie uwierzy - dodała i ponownie trzasnęła drzwiami.

Nie bacząc na wiatr, który szarpał marynarkę, Raleigh stał na podwórku, wpatrzony w nienaruszoną biel śniegu. Nie byłby bardziej zdumiony, gdyby Rebeka otworzyła drzwi i rzucała weń śniegową kulą. Wyraz jej twarzy, ból malujący się w oczach uświadomiły mu, że od dłuższego czasu musiała wierzyć w to, co powiedziała, a mianowicie, że on wstydzi się z nią pokazywać. Nic bardziej błędnego. Miał ją tylko dla siebie z czystego egoizmu, bo sam pragnął się nią cieszyć. Było im razem cudownie. W to nie wątpił, tak jak w jej śmiech, poczucie humoru i oddanie w miłości.

Do licha, jak miał ją przekonać, że popełnia straszny błąd, sądząc, iż on kryje się z ich związkim przed ludźmi, bo się go wstydzi? Spojrzał na drzwi, zastanawiając się, czy ich nie wyważyć, nie wejść siłą i nie wyjaśnić wszystkiego. Potem wpadł na lepszy pomysł. Zawsze była trudną uczennicą. Nie ulegała perswazji. Jak tylko udało mu się zburzyć jeden mur, natychmiast wznosiła drugi, byle tylko utrzymać dystans.

Raleigh odetchnął głęboko. Czego oczekiwał? Brała przykład z niego. Pozostawało tylko jedno. Tak zmienić plan, by zaczął odpowiadać Rebecce. Spojrzał na zegarek, jeszcze raz rzucił okiem na drzwi i zbiegł po schodach.

Rebeka rozejrzała się po sali liceum Follett River pełnej dawnych kolegów, ozdobionej kolorową krepiną i przywozającej tyle wspomnień o Bezlitosnym Hanlonie, iż można było dostać migreny.

Wszystkie próby niemyślenia o nim kończyły się fiaskiem. Odkąd tu przyszła, wielokrotnie wymieniono w rozmowach jego nazwisko. Ilekroć je słyszała, czuła, że serce zaczyna bić jej mocniej i łzy cisną się do oczu. Brała wtedy głęboki oddech i szybko zmieniała temat rozmowy, by się nie rozpłakać.

Teraz odwróciła się do młodej kobiety, stojącej obok niej, i rzekła z Wymuszoną radością w głosie:

- Jade Maclóad, znakomicie się prezentujesz w tej sukni z czarnego aksamitu. Dziesięć lat temu równie świetnie wyglądała w swetrze i džinsach, prawda, Megan? - Rebeka zwróciła się do atrakcyjnej blondynki, stojącej tuż obok.

- Jade było rewelacyjnie nawet w kostiumie gimnastycznym - potwierdziła przyjaciółka.

- Tak? - ucieszyła się Jade, spoglądając ku swemu przystojnemu partnerowi, który towarzyszył jej na spotkaniu.

Rebeka, zadowolona, że może zająć się czymś innym niż tylko rozmyślaniami o Raleighu, wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Megan.

- Oczywiście, Jade - powiedziała. - Twój znajomy również nie odrywa od ciebie oczu. Za każdym razem, gdy na niego nie patrzysz, ściga cię wzrokiem.

Jade jeszcze raz obejrzała się szybko, by spojrzeć na mężczyznę otoczonego wianuszkami rozbawionych kobiet.

- Często to robi? - zapytała.

- Przez cały wieczór szepnęły chórem Megan i Rebeka.

Wszystkie trzy popatrzyły teraz na przystojniaka, a on po-

chwycił ich wzrok i w odpowiedzi pomachał im ręką. Rebeka i Megan odwzajemniły pozdrowienie.

- Opowiedz nam, Jade, jak ci się pracuje z nim i kongresmenką Bloomfield?

- Och, znasz Waszyngton - rzekła zarumieniona Jade. - Nie można się tam nudzić - dorzuciła i zmieniła temat - Trudno uwierzyć, że znowu tu jesteśmy po dziesięciu latach - powiedziała. - Tak jakby nic się nie zmieniło, prawda?

- Wiele się zmieniło. Właściwie wszystko trochę za szybko wtrąciła Rebeka.

Gdy koleżanki spojrzały na nią z zainteresowaniem, przeprosiła je na moment i schroniła się do łazienki. Przez następne dziesięć minut ukrywała się tam, próbując uzmysłowić sobie, co właściwie zaszło w jej życiu w ciągu ostatniego miesiąca. Zza drzwi dobiegały odgłosy rozmów na temat udanych małżeństw i wspinających dzieci.

Zacisnęła palce na ramionach i próbowała powstrzymać cisnące się do oczu łzy. W jaki sposób mogła się włączyć do tych pogawędek? Co opowiedzieć o swoim życiu? Wszystko się dla niej skończyło. Nawet plany otwarcia drugiego biura w mieście, w którym żył Hanlon, straciły sens. Tkwiąc w łazience, zaczęła żałować, że nie pali papierosów, ciągle myśli o Raleighu i nadal go kocha.

- Dobrze się czujesz? - usłyszała głos Megan dobiegający z drugiej strony drzwi.

- Cudownie - zawołała, otarła oczy i uchyliła drzwi.

- Chyba że przyszłaś powiedzieć mi, iż ktoś odkrył, że, swoim zwyczajem, przygotowuję jakiś numer w łazience.

Megan ujęła Reбекę pod ramię i wypchnęła koleżankę z toalety.

- Przestań się wygłupiać; Coś zaszło między tobą i Raleighem Hanlonem, prawda?

Rebeka westchnęła głęboko i przyglądała przód swej tafetowej sukienki.

- Wydawało mi się, że będzie nieźle wyglądać. Nie za bardzo odstaje? - spytała.

- Świetnie się prezentujesz i, jak zwykle, nie okazujesz, że jesteś zraniona.

Rebeka wzięła głęboki oddech, starając się nie zwracać uwagi na aplauz, który rozległ się właśnie w sali gimnastycznej. Pewnie pojawiła się tam dawna drużyna futbolowa.

- Ach, Meggie, chyba Jade ma rację. Może wcale tak bardzo się nie zmieniłyśmy.

- Dobrze wiesz, że Jade mówiła serio, a nie paplała ot, tak sobie. Pewnie, że się nie zmieniłyśmy - rzekła Megan i poczęstowała Rebeke przyjacielskim kuksańcem w bok.

- No chyba - zgodziła się Rebeka, a potem spojrzała na wiszące na ścianie zdjęcia, które skopiowano z ich klasowego albumu. Popatrz, jakie byłyśmy wtedy i jakie jesteśmy teraz. Jade dokonała dobrego wyboru. Ma wspaniałego przyjaciela. Ty nie spotykasz się z nikim od śmierci Andy'ego i sama wychowujesz dziecko, a mnie mężczyzna, którego pokochałam, pokazał drzwi.

- Co między wami zaszło? - spytała Megan, gdy ochłonięła ze zdziwienia.

- Historia się powtórzyła, oto co zaszło - odparła Rebeka.
- Nie zdałam końcowego egzaminu.

- Pozwoli ci powtarzać?

- Chodzi ci o to, czyja będę tego chciała? Nie sądzę, a i on pragnie trzymać się ode mnie jak najdalej.

Megan rzuciła okiem w głąb sali, z której dobiegały dźwięki orkiestry kończącej jakąś melodię.

- Co się dzieje? - spytała Rebeka. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Megan zamrugała powiekami, spojrzała na przyjaciółkę i potrząsnęła głową. Rebeka wsparła ręce na jej ramionach, wspięła się na palce i rozejrzała dokoła. Instynktownie pomyślała, że to musi być Raleigh. Rozsądek podpowiadał, żeby stąd wyjść, ale została, wiedzona ciekawością. Do miłości nie chciała się przyznać nawet sama przed sobą. Nie kocham go i koniec. Trzeba to sobie powtarzać, postanowiła.

- Hej, Reb, przyszedł Bezlitosny Hanlon - zawołał któryś z kolegów. - Lepiej uciekaj.

Sala zatrzęsa się od śmiechu. Dobry Boże, czy każdy w Follett River wie o niej i o Raleighu? Rebeka zaczęła przestępować z nogi na nogę. Co on robił w tej sali? Dlaczego zapanowało takie napięcie?

Zmrużyła oczy, mając nadzieję, że Megan jej to wyjaśni.

- Jest tak, jak powiedziałam - stwierdziła koleżanka. - Kiedy tylko wyjechałaś, zaczęło tu być nudno, ale teraz się zmieniło - szepnęła i wmieszała się w tłum ciekawskich, który otoczył niezwykłą parę.

- Panno Barnett.

Ciało Rebeki zareagowało dreszczem na dźwięk tego głosu. Zamknęła oczy.

- Słucham, panie Hanlon? - odezwała się, powoli odwracając się ku Raleighowi.

Wyraźnie traciła odwagę. Wiedziała, że za wszelką cenę musi przetrwać ten moment, nawet gdyby potem miała opuścić Follett River i nigdy już tu nie wrócić.

- Życzy pan sobie czegoś?

- Litości, panno Barnett.

Strach i nadzieja jednocześnie opanowały Rebekę, gdy Raleigh ujął ją za rękę i poprowadził na parkiet.

- Co robisz?

- To co ty. Zawsze lubiłaś mieć wielu świadków swoich wyczynów.

Rozległy się dźwięki saksofonu. Raleigh objął Rebekę w talii. Rozejrzała się po sali i podała mu dłoń. Wszyscy wlepiali w nich wzrok, a profesor Hanlon zdawał się być z tego zadowolony.

Początkowo utrzymywał dystans w tańcu. Bardzo dobrze, pomyślała Rebeka. Przymknęła oczy, walcząc ze sobą, by nie przytulić policzka do ramienia ukochanego.

- Wiesz, o czym myślę? - zapytał.

- Nie mam pojęcia - odparła, wpatrując się w jego krawat, jakby to były wrota do nieba.

- Myślę, że powinniśmy częściej chodzić na tańce.

- Ja... - Rebeka zatrzymała się, jak przez mgłę widząc ciasny krąg przyjaciółek. - Co ty tu robisz? - wyjąkała.

- Nie pamiętasz? Przecież mnie zaprosiłaś.

- A potem odwołałam zaproszenie i chciałam wiedzieć, co tu robisz.

- Każdy nauczyciel pragnie dożyć chwili, w której nauczy się czegoś od swego ucznia. Ja uczyłem się od ciebie przez cały miesiąc, ale dziś dałaś mi najważniejszą lekcję.

Rebeka spojrzała nań z ukosa. Uśmiechał się, lecz mówił poważnie.

- Miałaś rację, Rebeko. Pozwoliłem, by śmierć Buddy'ego odcisnęła piętno na moim życiu. I choć zawsze będę

się czuł w jakimś sensie winny temu, że zginął, zrozumiałem, iż powinienem pozwolić mu odejść i zająć się własną egzystencją. Chciałem powiedzieć ci to już wtedy w twoim mieszkaniu. - Raleigh zbliżył się nieco bardziej do Rebeki. - Ale nie byłeś w nastroju do słuchania, więc wpadłem na lepszy pomysł i tu przyszedłem.

Rebeka pomyślała, że to sen, z którego w każdej chwili może się obudzić. Uśmiech Raleigha przypominał jej ich miłosne chwile. Mężczyzna zsunął dłoń poniżej jej talii i przycisnął jej biodra do swoich, a ona mu na to pozwoliła, wmyślając sobie, że to najlepszy sposób, by nie ściągać niczyjej uwagi. I tak wszyscy gapili się na niezwykłą parę, jaką stanowili w tańcu Bezlitosny Hanlon i Reb Barnett,

- Takie wystawianie się na publiczny widok nie jest w twoim stylu, Hanlon - szepnęła.

- Zmieniłem się - odparł, przytulając ją jeszcze mocniej. - Przecież tego chciałaś.

- Może i rozważyłeś na nowo parę spraw, o których mówiliśmy wcześniej. Nie sądzisz jednak, iż ogarnie cię złe samopoczucie po tym wieczorze, że będziesz żałował... - zaczęła, próbując wyswobodzić się z objęć.

- Jedyne, czego żałuję - przerwał Raleigh i przyciągnął ją znowu do siebie - to tego, że myślisz, iż wstydziałem się z tobą pokazywać. Przysięgam, tak nie było.

Przestali tańczyć.

- Rebeko, byłem bardzo szczęśliwy, mając cię wyłącznie dla siebie. Nie chciałem się tobą z nikim dzielić - dodał.

- Naprawdę? - spytała, czując, że zaczyna drżeć.

- Oczywiście, że tak. Kocham cię - powiedział głośniej. Ktoś z tłumu wydał okrzyk radości. Raleigh i Rebeka po-

patrzyli na siebie, a potem roześmieli się jednocześnie. Profesor Hanlon wziął w ramiona byłą uczennicę i przy aplauzie zgromadzonych gorąco ją pocałował, nie pozostawiając wątpliwości co do rodzaju uczuć, jakie dla niej żywił. Przesunął ręką po jej czuprynie i szepnął:

- Teraz ty masz wybór.

- Ja? - spytała, z trudem utrzymując się na nogach.

Starła Raleighowi ślady szminki z ust, otarła łzę z kąca swojego oka,

- Jaki wybór?

- Czy wolałabyś żebym najpierw zabrał cię do domu, czy też tu mam cię spytać: zostaniesz moją żoną?

Rebeka nie wahała się ani przez chwilę.

- Raleigh, teraz ci odpowiem - odrzekła patrząc mu w oczy. - Kocham cię.

EPILOG

Raleigh oderwał wzrok od okna tymczasowej siedziby biura turystycznego w Follett River, przez które spostrzegł Rebekę z niecierpliwością usiłującą nadać faks. Uśmiechnęła się, kiedy go zobaczyła. Minęło dziesięć tygodni od ich ślubu, a on nie mógł przeżyć dnia bez myśli o tym uśmiechu. Ciągle ogarniało go podniecenie, gdy Rebeka spoglądała na niego.

- Dostawa z kawiarni „Czekoladka” - zaanonsował, otwierając drzwi.

- Widzę, że Megan ciebie też w końcu zatrudniła.

- Nie lekceważ tego, Reb. Kiedy zamawiałem kawę, usłyszałem coś na temat starego magazynu. W przyszłym tygodniu w hotelu Maxwell odbędzie się spotkanie inwestorów. Zaproszą wszystkich zainteresowanych.

- Raleigh, to cudownie - zawołała Rebeka, ruszając ku mężowi, lecz zatrzymała się na dźwięk faksu.

- Czekasz na coś ważnego?

- Bardzo ważnego. Kiedy skończysz zajęcia w college'u, koniecznie musimy wyjechać na nasz miesiąc miodowy. W każdej chwili oczekuję przysłania nam planu podróży. Nałdal nie masz nic przeciwko mojemu pomysłowi, by spędzić trzy tygodnie w Andach zamiast w Paryżu?

Raleigh odsunął papiery na jej biurku i zaczął wypakowywać zakupy.

- No cóż, to nie jest najbardziej... konwencjonalne miejsce na spędzenie miodowego miesiąca — powiedział, udając, że się zastanawia. - Ale wyrzuciłem to słowo z mojego osobistego słownika, więc..

Rozejrzał się i zapytał:

-Jesteś sama?

- Co... tak - odrzekła, wyjmując z faksu pierwszą kartkę papieru. Inni poszli na lunch. Wiesz, Penny dzwoniła tu dziś rano. Powiedziała że odkąd zdecydowała się za moją radą pójść tej jesieni, do college'u, chce u ciebie brać lekcje historii i mam cię nie poprosić. Co o tym myślisz?

- Hmm mruknął z zamyśleniem kontemplując pociągające kształty żony.

Rebeką miała dziś na sobie czarną spódniczkę i czarne pończochy. Raleigh przysiadł na biurku i jeszcze przez chwilę pieścił ją wzrokiem.

- Nie wiem, kochanie.

- Co masz na myśli? -.spytała, spoglądając na Raleigha przez ramię, podczas gdy faks wyrzucał z siebie następną kartkę

Raleigh potrząsnął głową.

- Skończy się tak samo jak wówczas, gdy ciebie uczyłem historii w liceum. Wymagało to wielu dodatkowych spotkań. Czasem parę razy w tygodniu musiałem zatrzymywać cię po lekcjach do wieczora.

Wyciągnął rękę i objął żonę w talii..

A teraz porozmawiamy trochę o pocałunkach. Mówiłaś, że jesteś sama, prawda?

- Raleigh! Przestań! - zawołała ze śmiechem. - Miałeś mi powiedzieć, co myślisz o trasie podróży.

Rzucił okiem na listę nazw egzotycznych miejscowości.

- Czy nasz miodowy miesiąc nie zamieni się w film przygodowy?

- Czemu tak myślisz? Tylko dlatego, że chcę, byśmy spędzili trzy tygodnie w dzikich Andach?

- U większości ludzi wzbudziłoby to niejaką podejrziwość.

- Spodoba ci się - zapewniła, podając mu kolorowe foldery.

- Popatrz, to najnowsze materiały. Tu jest...

Wziął broszury z jej ręki i rzucił na stos innych.

- Będzie mi dobrze wszędzie, dokądkolwiek zechcesz pojechać - zapewnił z uśmiechem, przyciągając żonę do siebie.

- Tutaj? - zapytała. - Przed frontowym oknem, przez które każdy może nas zobaczyć?

- Tak - odparł i wziął ją w ramiona. - Czy to cię krępuje?

Jestem... zaskoczona - rzekła mało przekonującym tonem.

- Uważam, że powinniśmy już zacząć się przygotowywać do miodowego, miesiąca - powiedział i ciągle trzymając ją w ramionach, niebezpiecznie pochylił ku ziemi.

Rebeka spojrzała nań z prawdziwym zdumieniem.

- Nie, myślisz chyba, że cię upuszczę.

Objęła go mocno i roześmiała się.

- Raleigh, nie ośmielisz się.

- Poproś - rzekł tonem mężczyzny, który wie, że dostanie wszystko, czego zapragnie.

Nie mogła nic zrobić, tylko się uśmiechać.

- Chcę to usłyszeć - zachęcił.
- Litości, panie Hanlon.
- Nic z tych rzeczy, pani Hanlon - powiedział, a potem zaczął ją całować.